Nr. 8. Warszawa, dnia 7 (19) Lutego 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CNOTA Z POTRZEBY.

Tegoroczną mowę królowej angielskiej na zagajenie parlamentu w dniu 8 b. m. zdobi — niezwykła wstydliwość, z jaką w niej rząd rozgląda się po świecie międzynarodowym. Wszędzie lękliwe lub ogólnikowe, żadnej myśli i woli nieujawniające wzmianki; nigdzie jasnego spojrzenia, odważnego wyrażenia tego, co się o faktach dokonanych myśli a w niedokonanych jeszcze spełnić zamierza. Wszystko, co w tę mowę lord Salisbury włożył, wygląda jakby wymuszone tylko przez konieczność wydania z siebie jakiegoś głosu, który w danym dniu na daną uroczystość nie mógł się nie odezwać. Mowę podyktowała jakaś senna ociężałość, trwoga przed własną myślą i czynem, bo chyba nie dreszcz sceniczny: na tej ogromnej i ciemnej, i zasadzek pełnej widowni, jaką tworzy ów świat międzynarodowy, Anglia jest starą już aktorką, dobrze wyszarzanym — sam Salisbury: powiedziećby umiał, jak przystało na ministra tak olbrzymio rozrosłego państwa, lecz się boi, aby komu nie nadepnąć na nogę, aby kogo nie potrącić, nie popchnąć. Zbrakło mu odwagi zewnętrznej do szczerego określenia stosunków politycznych; zbrakło i wewnętrznej do przyznania się, że nieraz zgrzeszył. W najbardziej palącym dziś punkcie politycznego widnokręgu odwrócił lord wzrok od nieciekawego istotnie dla potęgi angielskiej widowiska: zmilczał zupełnie o Chinach. Zrobił wszystko, co mógł, aby powiedzieć — *nic*.

Gdy minister w państwie konstytucyjnem, mając przeciwko sobie potężną mniejszość, wisząc zaledwie u steru, trzyma się na kilkunastu tylko głosach sejmowych, można mu wybaczyć prześlizgiwanie się między prawdą a fałszem, między prawdą gorszą a lepszą, fałszem większym a mniejszym. Ale gdy kto stoi na tak silnych nogach, jak margrabia, gdy ma za sobą 406 walecznych, a przeciwko sobie 264, i to niezgodnych, wspólnego rzeczywiście programu pozbawionych — takie bąkanie, przerywane ziewaniem, takie przepyszne dla humorystów, przemilczenie o Chinach — staje się wręcz już czynem nagannym. Większość nie da nagany, bo nie ma kogo do steru wezwać, a przytem zwyczaje arystokracyi angielskiej nakazują czekać do ostatka i niedołęstwo osoby nadsztukowywać dzielnością tłumu, wybijających się z niego jednostek; ale za taką mowę tronową, jaką w tym roku margrabia dla królowej napisał, można go było przynajmniej z daleka dyscypliną postraszyć. Z mowy dowiedzieliśmy się, że wyprawę angielską nad górny Nil — powstrzymaną przez zbrojenie się Sudańczyków — wywołał, nie rząd angielski, ale kalif sudański. Rola wojsk angielskich — według Salisburego — ogranicza się na popieraniu chedywa — jak gdyby go ktokolwiek i skądkolwiek wypierał, gdzie jego prawa były rzeczywiste, a nie urojone. Polityka względem Abisynii rzeczywiście udała się Anglii: zawarto traktat przyjaźni i — handlu. Powstanie Afrydów, Orokzajów i innych po nad Indem przypisuje margrabia ich fanatyzmowi, nie mówiąc nic o błędach administracyi angielskiej. Na szlachetne uczucie plemion gwałtownie niegdyś przesiedlonych z Afganistanu, rzuca lord brudną płachtę pojęcia jakiegoś dzikiego, cywilizacyi angielskiej wrogiego szału. Nie mógł już ukryć ciężkich ofiar, bo dwu tysięcy poległych zmieść z przed oczu niepodobna. Wspomina o pokonaniu nieprzełamanych prawie przeszkód przez waleczne istotnie wojska; ale jakże i ten ustęp brzmi licho, marnie, jakby wyszedł z ust uwiądem starczym już dotkniętych! Pociecha, że głód srożący się w Indyach Wschodnich nie przekracza kilku okręgów prowincyi Madraskiej; zapewnienie, że rząd nie szczędzi usiłowań w walce z dżumą w Hindostanie; obietnica środków ochronnych dla cukru z Indyj Zachodnich — na szarem tle mowy rysują się jak trzy czarne punkta, których zamazać już było niepodobna.

W sprawach najważniejszych lord był najwstydliwszym. Powiedział, że pokój między Grecyą a Turcyą pozostawił stosunki terytoryalne obu państw bez zmiany — i to właśnie powiedział w chwili, kiedy Turcy, zabrawszy prawnie szeroki pas na wschodzie, w głębi kraju, który zajmują tylko jako wierzyciele, pomykają coraz dalej, a coraz bezprawniej, na południe Tessalii. O Krecie mamy jedynie tyle, że trudności porozumienia prze-

ciągają nad miarę działanie mocarstw; nawet imienia ks. Jerzego wymienić margrabia nie śmiał. Zdmuchnięcie kwestyi chińskiej z mowy tronowej wynagrodził tego samego dnia wstawieniem jej w mowę własną podczas rozpraw nad adresem w Izbie wyższej. Korzyści przez traktat w Tientsinie zapewnionych — powiedział — Anglia wydrzeć sobie nie pozwoli i niema środka, któregoby użyć nie była gotową w ich obronie. Brzmi to wspaniale; ale sama potrzeba mówienia *o wydarciu* jako o możliwości logicznej, przyćmiewa blask tej wspaniałości. Zresztą, na teraz nic nie grozi, jak zapewnił margrabia — a odwaga na daleką metę jest zawsze łatwiejszą. Całą cherlaczość swej polityki na dalekim Wschodzie obnażył Salisbury wynurzeniami o tem, co nazwał legendą Talien-Wanu. Jest to jedno wielkie kłamstwo. Winnym ma być, nie rząd w Londynie, ale poseł sir Macdonald w Pekinie. On to, ofiarując Chinom pożyczkę—którą Anglia ciągle w gotowości trzyma — postawił Talien-Wan jako warunek. Stało się to d. 16 stycznia; nazajutrz już Salisbury *zaprojektował Chinom* (!) „odroczenie sprawy Talienwanu,“ a w kilka dni później „otrzymaliśmy od Rosyi zapewnienie, że każdy port, z którego ona sama korzystać będzie mogła wskutek porozumienia się z Chinami, z góry już otwartym jest dla Anglii.“ „Port wolny — zamknął swą mądrość polityczną margrabia— lepszym jest od traktatowego.“ Tak się eskamotuje porażki. Świat przecież widzi doskonale kuglarstwo. Anglię wyparowują ze Wschodu chińskiego, z dniem każdym coraz dotykalniej, trzy mocarstwa współdziałające, a Rosya nie da jej już nigdy odzyskać strat obecnych i większych od nich, a niezawodnych przyszłych. Upadek potęgi angielskiej już się rozpoczął — i zwiększenie sił wojennych Anglii, o które królowa prosi parlament — powstrzymać go nie zdoła. Bezsilność bucha z całej tej mowy tronowej, bezsilność tłomaczy tę wstydliwość, tę skromność w myślach i wyrażeniach, dla której jedną tylko nazwę mieć można: jest to cnota z potrzeby.

Tydzień polityczny. Proces Zoli w ubiegłym tygodniu sprawozdawczym ujawnił trzy okoliczności: wstręt generałów Merciera i Boisdeffre'a do odpowiedzenia na pytanie: czy w procesie Dreyfussa przedstawiono jaki dokument tajemny; prawdopodobieństwo napisania słynnego *bordereau* przez Esterhazego; zawołanie o rewizyę procesu Dreyfussa przez samego generała Pellieux, wpływającego do procesu Esterhazego-Picquarta. Optymaci rządowi w obu porządkach, cywilnym i wojskowym, zaczęli się już chwiać; motłoch paryski, prowadzony przez nich, złagodniał. Przesileniem była napaść na sklep żydowski przy bulwarze Sewastopolskim. W Izbie minister wojny, Billiot, usprawiedliwiał się z zarzutu—porozumienia się z Dreyfussami! Tego tylko jeszcze brakło. Proces w sobotę ma już dotrzeć do punktu obrony za Zolą; we wtorek spodziewają się wyroku. Bonapartyści odprawiają już pod osłoną patryotycznego oburzenia na Zolę i jego obrońców szabasy; wrzeszczą „Vive l'empereur.“ Widmo dyktatury wojskowej zaczyna trwożyć już nawet cielęta republikanizmu. Obiegają pogłoski o upadku Meline'a. Z Europy, z Ameryki coraz więcej objawów radykalizmu, występującego tylko w charakterze uczciwości, wspieranej istotną rozwagą polityczną, przynosi uznanie dla Zoli. Dzienniki angielskie i amerykańskie domagają się rewizyi procesu Dreyfussa.

W mowie tronowej angielskiej Irlandczycy otrzymali obietnicę samorządu, a naród zjednoczonych królestw zapowiedź nowych nakładów na wojsko. Zaciąg wojskowy pomnożonym być ma o 15,000 ludzi; tak doniosły jeszcze przed mową dzienniki.

W Austryi Niemcy czescy nie chcieli uchwalić adresu do cesarza; aby im ułatwić przyzwoitość, Czesi postanowili powinszowanie jubileuszowe zawrzeć w osobnym akcie. Projekty przemówienia politycznego do cesarza, ułożone przez Kramarza, Vaszatego i in., nie posuwają się po za kres adresu lwowskiego z dnia 27 stycznia. Żądania niemieckie zmierzają stale do podziału sejmu na kurye narodowe, a kraju na narodowe okręgi. Gautsch opracował nowe rozporządzenia językowe, uszczuplające prawa Czechów, ale i o takich Niemcy słyszeć nie chcą. Z Węgrami porozumienie o kwotę i dalsze stosunki dziesięcioletnie jest jeszcze dalekie. Młódź szkolna niemiecka nawet w szkole sztuk pięknych w Wiedniu nie pięknie się wzburzyła przeciwko władzy i pracy. Profesorowie uniwersytetów podburzają studentów do buntu, rozsadzającego monarchię austryacką. Katastrofa wisi w powietrzu. Z „Vaterlanda“ świta już zawieszenie konstytucyi— ostatni ratunek.

Pożyczki angielskiej już się Chiny stanowczo wyrzekły. Wypuszczają bony wewnętrzne na 100 mil. taelów.

W Gwatemali Anglik Salinger zamordował prezydenta — uzurpatora Barriosa.

Kandydatura ks. Jerzego upadła. Dwom mocarstwom ma być oddana Kreta w zarząd.

W Skopliu (Juskjubie) Turcy dopuścili się gwałtów, które nawet ambasadorów w Stambule poruszyły.

P. Dupuy de Lhôme, poseł hiszpański w Waszyngtonie, odwołany. Ogłoszono jego list z r. z. do Canalejasa, b. ministra, nazywający Mc Kinleya „marnym politykiem.“ Na Kubie autonomia zaledwie w grunt wsadzona już więdnie. Poznano się na niej; nawet umiarkowani nie chcą być prostymi doradzcami gubernatora.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

MONOPOL.

Początek roku bieżącego zaznaczył się u nas doniosłą reformą, tem donioślejszą, że dotyczy ona zarówno sfery ekonomicznej, jak i społecznej: wprowadzono w całem Królestwie Polskiem monopol wódczany. Wywołał on, jak wogóle tego rodzaju zmiany, gwałtowne wstrząśnienie i przewrót w stosunkach dotychczasowych. Restauracye podrzędniejsze, chcąc ażeby je zaliczono do kategoryi lepszej, usunęły bawarki. Tym sposobem setki kobiet straciły zarobek. Zamknięcie zakładów, sprzedających trunki, również pozbawiło zarobku liczne rzesze pracowników. Natomiast przybyło sporo zupełnie nowych ludzi, którzy zajęli miejsca przy sprzedaży trunków. Na produkcyę spirytusu zmiana ta również oddziałała silnie. Dotychczas więc odbiła się ona ujemnie na interesach tysięcy ludzi w całym kraju. Przewidywaliśmy to z góry na mocy dobrze znanego zjawiska, że prawodawstwo, reformujące na szeroką skalę w danej dziedzinie stosunki ekonomiczne, musi wywołać straty pewnej

---

40)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Gracze.

W katordze, gdzie się wszystko sprzedaje i kupuje, i to bardzo tanio, człowiek, który ma pieniądze, musi wpływ wywierać.

Gracze po za grą niczem innem się nie zajmują. Wszyscy są szulerzy. Kiedy dwu takich zasiada, jest to tylko turniej szulerski. Jeżeli ktoś z boku, broń Boże, zawoła: „alež on szachruje!“ — turma zbije go śmiertelnie:

— Nie wtrącaj się nie do swego!

Gracz, który jest niezwykle zręcznym szulerem, nosi zaszczytne imię: „majster.“

Przy graczu żywi się tak dużo ludzi, że musi on mieć powagę i znaczenie. Nigdy nie spełnia robót katorżnych; najmuje za siebie „sucharnika.“ Nadto ma zawsze „podduwałę,“ czasem nawet kilku, którzy sprzątają i ścielą mu pościel na tapczanie, chodzą po obiad, zaparzają herbatę. Gracz daje zarobek jednemu z uczestników, który bierze 10% od bankiera i 5% od „ponterów.“ Dzięki graczowi, zarabia także i „stremszczyk,“ który stoi przy drzwiach na czatach przez cały czas trwania gry. Za pośrednictwem gracza puszczają także w obieg swoje pieniądze „ojcowie,“ lichwiarze: gdy przychodzi niedoświadczony lub nowicyusz, gracz zaś nie ma dostatecznej ilości pieniędzy, tamci „zakładają bank“ i wygrywają na pewno.

Całe to otoczenie gracza stanowi jego partyę, która w każdej chwili może się za nim ująć i poprzeć go we wszelkich sprawach. Może on zmieniać postanowienia zgromadzeń więziennych, gdyż ma za sobą zawsze dużo ludzi. Niebezpiecznie jest z nim zadzierać. Gdy każe zbić, to zbiją. Trzeba go zjednywać pochlebstwem, usługami, bo gdy każe przebaczyć, to przebaczą.

To też gracze panują, dopóki mogą. Znęcają się nad towarzyszami. Nieprzebrane mają pomysły nękania ludzi. Miałem w jednem więzieniu znajomego gracza, którego obserwowałem, jako bardzo ciekawy typ. Nieborak nie cieszył się powodzeniem. Chodził zły, rozdrażniony, zawsze pochmurny. Zaczął już własne rzeczy przegrywać. „Przerżnął“ zegarek, przedmiot wielkiej dumy. Żle!

— Cóż, bratku, do żyganów chylisz się?

— Do tego właśnie idzie!

Pewnego razu przychodzę do więzienia i, o dziwy, nie poznaję go. Leży na tapczanie i wykrzykuje. „Podduwało“ ledwie może nadążyć w spełnianiu wszystkich jego zachcianek.

— Co dziś — woła — Matwiej, syn Mikołaja, będzie jadł na obiad?

„Podduwało“ przynosi zwykły szafliczek z „bałandą.“

„Matwiej, syn Mikołaja,“ podniósł się trochę, spojrzał do szafliczka i splunął.

— Psów tem karmić. Komuż to, głupcze, dajesz? Myślisz, że Matwiej, syn Mikołaja, będzie to jadł?! Co jest więcej?

„Podduwało“ położył na tapczanie pokrajany chleb czarny.

— Proszę porcyę, Matwieju, synu Mikołaja.

„Matwiej, syn Mikołaja,“ zrzucił chleb nogą.

— Cóż to, takie jedzenie dla Matwieja, syna Mikołaja? Nie ma kto was, durniów, uczyć! Matwiej, syn Mikołaja, miałby takie marne jadło spożywać! Dawaj kiełbasę!

„Podduwało“ podał kiełbasę wędzoną i chleb biały.

— O, to właśnie!

Usłużny więzień, zbierając z podłogi

grupy społeczeństwa. Za lat kilka kraj o tych stratach zapomni; tymczasem odczuwa je. W rubryce przyszłych zysków mamy „dobrobyt“ i „umoralnienie ludności.“ Nie trzeba atoli w tej mierze być zbytnim optymistą, bo i tu doświadczenie daje pewne wskazówki.

Monopol ma dwojakie zadanie: środek fiskalny dla skarbu i ochronę ludności od pijaństwa. Na pozór trudno się dają pogodzić z sobą te dwa cele. Jeszcze bardziej wydaje się dziwnym udział urzędników akcyzy w komitetach „trzeźwości.“ Do pewnego jednak stopnia te cele istotnie zdołano zharmonizować. Nie trzeba atoli przeceniać doniosłości owej reformy i uważać jej za czynnik, polepszający stosunki społeczne. Taka reforma ekonomiczna, ściślej mówiąc, zmiana postaci handlu nie może zasadniczo wpłynąć na zmianę lub nawet usunięcie nawyknień, związanych z warunkami bytu i kulturą. Monopol wódczany jest tylko udoskonalonym sposobem handlu, który usuwa nierzetelność, nadużycia i to całe tło, ułatwiające spotęgowywanie jawnego zepsucia i upadku.

Chcąc sobie wyobrazić monopol wódczany, jako czynnik społeczny w warunkach naszych i jego wpływ w przyszłości, musimy przedewszystkiem przyjrzeć się stosunkom w tych miejscowościach, gdzie on już istnieje od lat kilku, wprowadzony sposobem próby i dał pewien materyał faktyczny, ułatwiający wnioski i wróżby. Autor „Listów petersburskich“ w nr. 49 *Prawdy* z r. z. przytoczył następujący charakterystyczny obrazek, skreślony przez korespondenta *Syna Otieczestwa*: „Pijacy zawładnęli ulicą i placami, urządzają na nich bójki i popełniają zbrodnie. W dzień świąteczny przykro i niebezpiecznie przechodzić ulicą, gdzie na chodnikach siedzą i leżą gromady ludzi, oddanych libacyom pod drzwiami rządowego sklepu sprzedaży trunków. Krzykom i połajankom towarzyszy nieczystość pijacka. Z dawnych szynków tłuszcza pijacka wraz z wrzawą i awanturami wylała się teraz na ulicę i z każdym dniem ulica ta przyzwyczaja się do pijanych, a pijani do ulicy.“ Jednocześnie silnie się rozwinął potajemny handel trunkami. Tajne szynkownie są czynne po całych nocach. To samo mniej więcej zaznaczył w raportach urzędowych naczelnik miasta Kerczu (Krym południowy), tudzież inni przedstawiciele władz. Stwierdzają oni, że pijaństwo rozwinęło się teraz na ulicy. Stało się ono jawniejszem, jak mówi marszałek gubernialny szlachty czernihowskiej: pod niebem odkrytem odbywają się wstrętne sceny pijackie, obok sklepów z wódką leżą ludzie bezwładni, pijani. Śród tłumów podchmielonych krążą specyaliści „odkorkowywacze,“ spełniający usługi za kieliszek wódki. Inni znowu w urzędowych raportach donoszą, że obok sklepów monopolowych usadowili się dawni szynkarze, którzy ułatwiają pijaństwo. Brudnych i ohydnych szynków niema, ale za to libacye przeniosły się do jadłodajni, gdzie przychodzą goście z butelkami „monopolówki“ w kieszeni, oraz w domach prywatnych. Co się tam dzieje, tego nikt nie widzi. Ojcowie rodzin przynoszą wódkę, upijają się sami i poją swych gości. Sceny, wynikające pod wpływem alkoholu, które się odgrywały dawniej w szynkach po za oczami żon i dzieci, teraz przeniosły się do ognisk rodzinnych i demoralizują je: zaczynają już pić i upijać się niepełnoletni. Powstało tedy pijaństwo pokątne, które nie razi i nie oburza opinii publicznej, bo ona tego nie widzi.

Nie dość na tem: zadaniem monopolu było uwolnić wódkę od trujących i odurzających substancyj fuzlowych. Jakoż istotnie szerokim masom spożywców dano wódkę czystą 40 i 50% i powiedziano, że zadawala ona „najsurowsze wymagania hygieny,“ gdyż jest prawie zupełnie wolna od wszelkich wyższych alkoholów (np. etylenowego). Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest; nauka bowiem dowiodła, że trunki, zawierające 40—50% wyskoku, są niezmiernie szkodliwe dla organizmu ludzkiego.

Wobec tego całkiem słusznie wraz z wprowadzeniem monopolu wódczanego postarano się stworzyć komitety trzeźwości. Szkoda tylko, że najważniejszy warunek ich działalności, a zarazem najskuteczniejszy środek obrony moralnej przed pijaństwem—oświata, dotąd, jak powszechnie stwierdza prasa rosyjska, napotyka największe trudności i nie może wyjednać żadnej pomocy skutecznej.

Zaczątki czegoś podobnego dają się spostrzegać i u nas, pomimo że dopiero od kilku tygodni monopol istnieje. Widzimy już na ulicach wyrostków pijanych, z butelkami „monopolówki“ w kieszeni; czytaliśmy także o wykryciu szynkowni tajnych, doraźnie urządzonych. Wiemy wreszcie, że szynkarze, którzy trudnili się dotąd lichwą w naturze, zaczęli uprawiać lichwę w gotówce.

Trzeba atoli przyznać, że co się tyczy „umoralniania“ monopol w tej mierze wywiera pewien wpływ dodatni. Przedewszystkiem usunął szynki — przytułki wszelkiego zepsucia, podnietę do czynów zbrodniczych, środek wyzysku tudzież ruiny moralnej, fizycznej i materyalnej ludności ubogiej. Dzięki temu, tak zwane „nożownictwo“ (kaleczenie i zabijanie nożami) zmniejszyło się znacznie.

Pijaństwo atoli w rzeczywistości nie osłabło wcale i trzeba być bardzo naiwnym, ażeby z tej strony oczekiwać zupełnego wyplenienia owej klęski. Zbyt silnie ona się zrosła z ogólnem urządzeniem warunków społecznych. Praca nadmierna, wymagająca podniety sztucznej i nędza, od której ludzie się bronią zapomnieniem i znieczuleniem na wszelkie cierpienia, to są zasadnicze warunki, utrzymujące alkoholizm masowy.

Wszelkie znane i praktykowane dotychczas środki walki z tym nałogiem i nawyknieniem mogą do pewnego stopnia zmniejszyć klęskę. Są więc pożądane, jako leki uśmierzające cierpienie. Wychodząc z tego stanowiska, uważamy za pożyteczne wszelkie zabiegi prywatne, współdziałanie ludzi uczciwych i inteli-

---

kawałki chleba czarnego, tylko się uśmiechnął do mnie:

— Figlarz!

A dokoła siedzą ludzie głodni.

— Po cóż mu — spytałem potem „podduwałę“ — „bałandę“ podajesz, żeby pluł, i chleb, żeby na ziemię rzucał? Wiesz przecie, że gdy ma pieniądze, to się „rozbija“ i prócz swego, nic nie je. Trzeba było dać mu odrazu kiełbasę z chlebem białym.

— A czyż to można? — prawie z przerażeniem odparł „podduwało“ — nie dopuść Boże! „Cóż to? — zapytałby zaraz — kto ja jestem? Aresztant, czy co? — Aresztant! — A, jeżeli aresztant, to czemuż mi nie dajesz strawy aresztanckiej? Co? A może ja nie pogardzę i jeść będę? Skąd ty, taki owaki, wiedzieć możesz? Kiełbasę podaje! Mego grosza nie oszczędza! A może ja skarbowem jadłem się pożywię. Chcesz mię rujnować!“ I tak dalej—całą godzinę będzie wymyślał. Trzeba mu podać szafliczek z „bałandą“ — dla porządku.

O cóż mu chodzi? Moc tylko swoją chce pokazać! Wiadomo! Wygrał!

Pewnego razu posłano jakiegoś gracza do tajgi na robotę. Nie mógł w żaden sposób się wywinąć. Otoż na towarzyszu — żyganie z pół wiorsty na oklep przejechał. Najął i pojechał.

— Bolą mię — powiada — nogi!

Żygani.

Źle wszakże, gdy gracz zgra się w końcu i zostanie „żyganem.“ Taką nazwę nosi w katordze wogóle każdy człowiek ubogi, który nic nie ma; ale szczególnie gracze, którzy się zgrali doszczętnie.

Wtedy dopiero katorga usiłuje powetować wszystko. Niema miary, niema końca znęcaniu się nad człowiekiem, pozbawionym wszystkich swoich przyjaciół, wielbicieli, obrońców, pochlebców, sług pokornych. Katorga wtedy nie oszczędza i nie ma litości.

Gdy „żygan“ przegrał już wszystko, pieniądze, ubranie, pracę swoją za cały rok naprzód, porcyę chleba za kilka miesięcy także naprzód — wtedy z nim grają albo o miejsce na tapczanie, albo o „bałandę.“ Ani jedno, ani drugie nikomu nie jest potrzebne. Grają wszakże tylko dlatego, ażeby upokorzyć.

— Niech cię dyabli! Zagram z tobą, psie! Albo trzy kopiejki, albo trzy dni będziesz spał na podłodze... Albo trzy kopiejki twoje, albo z głodu zdychaj! Tydzień bez bałandy, bez picia, bez żarcia siedź!

— Zachodzę pewnego razu do więzienia przed wieczorem, gdy już wszyscy się położyli. Patrzę, jeden aresztant na przejściu koło tapczana leży. Zobaczywszy mię, zerwał się i poszedł na tapczan. Ale sąsiad nie puszcza:

— Stój! Gdzie leziesz? Nie! Leż na podłodze!

— Czorcie, dyable! Widzisz, pan!

— Nie, leż i przy panu. Niech pan widzi, co za stworzenie jesteś na świecie. Leż!

Aresztant stał koło tapczana.

— Nie, kładź się! — zawołano dokoła ze śmiechem—niema po co wstawać. Pan powiedział, że nic nie szkodzi, można przy nim leżeć! A więc leż, jakeś leżał.

— Co, miejsce przegrał? — pytam.

— Tak, przerżnął, pies, a teraz przykro.

— Za ile miejsce szło?

— Za trzy kopiejki, ale ja i rubla nie wezmę.

— Masz trzy!

— Ot, pocóż to! Moja ambicya więcej warta, niż pańskie trzy ruble.

Najwidoczniej „zawziął się.“ Nic w takich razach z więźniem nie można poradzić.

— Przegrałeś, więc płać! Tarzaj się po

gentnych, oraz komitetów trzeźwości, o ile one będą mogły całkowicie swój program zastosować w życiu.

Obecnie w Petersburgu jest rozważana sprawa walki z alkoholizmem. Niedawno odbyło się bardzo liczne posiedzenie stworzonej w tej sprawie komisyi, która przedewszystkiem zatwierdziła następujący program pracy teoretycznej: 1) Dane fizyologiczne o wpływie alkoholu na organizm ludzki wogóle i jego system nerwowy w szczególności. 2) Alkoholizm ostry i chroniczny. 3) Użycie alkoholu i wogóle trunków u nas oraz za granicą, geograficzne rozmieszczenie alkoholizmu. 4) Przyczyny. 5) Środki zapobiegawcze. 6) Środki zwalczania alkoholizmu, przedsięwzięte przez jednostki. 7) Systematyczny plan państwowej i społecznej walki z alkoholizmem tudzież jego następstwami dla jednostki, rodziny, społeczeństwa i państwa.

Prócz tego wprowadzono do programu następujące uzupełnienia: ocena porównawcza fizyologicznego znaczenia dwu sposobów użycia alkoholu: 1) systematycznego umiarkowanego i 2) wypadkowego nieumiarkowanego. Prof. Petri, zaznaczając, że w państwie rosyjskiem istnieje 142 narodowości, na które alkohol działa w sposób najrozmaitszy, wprowadził do programu tę kwestyę. Wreszcie ktoś jeszcze zwrócił uwagę na to, że monopol wódczany utrudnił poparcie zabiegów i dążeń ludu w zakresie wstrzemięźliwości, gdyż postanowienia zgromadzeń włościańskich o zamknięciu szynków nie są zatwierdzane przez władze, ze względu, że to się nie zgadza z interesami fiskalizmu.

Warto, ażeby komisya wzięła pod uwagę jeszcze następujące postulaty prof. Sikorskiego z Kijowa: 1) Zmniejszyć produkcyę wódki o połowę, ażeby rocznie spożywana ilość nie przewyższała na jednego człowieka 0,30 wiadra spirytusu bezwodnego. 2) Obowiązkowo wprowadzić towarzystwa wstrzemięźliwości, któreby urządzałyby odczyty, rozdawały broszury o szkodliwości pijaństwa, zakładały herbaciarnie i jadłodajnie. 3) Znieść akcyzę na cukier i herbatę dla uprzystępnienia cen tych produktów. 4) Oddać sprawę pijaństwa w Rosyi, grożącego ludności ruiną wszechstroną, zwyrodnieniem fizycznem i duchowem, nie w ręce ministeryum skarbu, lecz innych władz, gdyż pierwsze, przy najlepszych chęciach, głównie ma na celu zwiększenie dochodów państwowych. 4) Dozwolić gminom wiejskim, ażeby mogły uchwałą własną znosić sprzedaż wódek tam, gdzie to jest konieczne.

Wracając do monopolu, nie możemy pominąć jeszcze jednego zjawiska bardzo ważnego, które już zaznaczyliśmy w nr. 49 *Prawdy* z r. z.: Jak wiadomo, na setki posad przy monopolu posypały się tysiące podań. Z tej olbrzymiej masy kandydatów wybrano liczbę potrzebną, ale wybór nie zawsze był fortunny. Na posady te w wielu miejscowościach Cesarstwa rzuciły się odpadki społeczne, nędza moralna, której oczywiście władza sternicza nie mogła poznać, więc niepodobna obarczać jej za to winą. Gdy przypadkiem śród tych wyszarzałych i zbrudzonych charakterów, śród tej nędzoty, szczerzącej na siebie zęby o kawałek chleba, śród tych płazów, czołgającycych się u podnóża instytucyi zarobkodawczej, zabłąka się dusza czysta, musi co prędzej umykać, ażeby odetchnąć swobodnie i splunąć po niemiłej woni rozkładających się pierwiastków moralnych tych istot, zwanych ludźmi. Instytucya zarobkodawcza bierze pracę i płaci za nią. Owe pierwiastki duszy i charakterów leżą po za obrębem jej zadań. Ale skoro na wszystkich innych placówkach zapasów o byt jest wymagany cenzus moralny obok uzdolnień specyalnych, czyby więc nie można było do pewnego stopnia i tutaj wprowadzić tego warunku? Wszak nowa postać handlu trunkami ma na celu zapobieganie rozkładowi moralnemu mas ludności, a więc tem bardziej warunek powyższy powinien być przestrzegany na owych stanowiskach.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Hasło krzyżackie w prasie niemieckiej. — Głosy uczciwsze. — Słowa potępienia na szpaltach *Berliner Tagebl.* — „Czujcie się Prusakami!“ — Skargi i rady *Dziennika Poznańskiego.* — Czynniki rozwoju potęgi i kultury niemieckiej. — Apostolstwo nienawiści z po za granic Rzeszy. — Partya ludowa mazurska.

Prasa niemiecka, zaciekła i żywiąca śmiertelną nienawiść do wszystkiego, co polskie lub słowiańskie, urządziła w ostatnich czasach formalną przeciwko nam krucyatę. W szczególach i środkach, brutalnych i podstępnych, przypomina ona krzyżactwo. Nawet w pobudkach i hasłach nie zerwała z tą haniebną tradycyą: „Na mury przeciw Polakom!“ — wypisała na swej płachcie (jako tytuł artykułu) królewiecka *Allg. Ztg.* Zobaczmy, jakimi taranami uderza ona w te mury: „Polska propaganda pochwyciła przemocą poczciwy klerykalny Górny Szląsk i usiłowała zamiast klerykalnych przedstawicieli dać narodowych Polaków. Hr. Ballestrem powiedział wówczas, że agitatorom wielkopolskim „należy dobrze dać po buzi.“ W kilka lat później tenże sam hrabia musiał podpisać uchwałę centralnego komitetu wyborczego ze Szląska, że nie trzeba robić różnic między polskim a niemieckim kandydatem.“

Czego się należy spodziewać od Polaków? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, organ powyższy sięga do położenia, charakteru i stanowiska Polaków pod innemi berłami i ze swojej charakterystyki dowolnej wnioski następne wysnuwa: W Austryi z ogólnego chaosu Polacy wytworzyli sobie kapitał i państwo polskie w państwie. Tę samą dążność ujawniają i w Prusiech. Nadto, pod berłem germańskiem żywią nienawiść dla Niemców. I oto odgrywa się część wielkiej walki między słowiańszczyzną a niemczyzną... „Czyż nie jest widoczny cały despotyczny charakter polonizmu w Galicyi? Ci Polacy, którzy tonem najgłębszego przekonania mówią o nieznośnym ucisku ze strony Niemców w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, uciskają w najohydniejszy sposób Rusinów i inne szczepy słowiańskie (jakie?) w Galicyi. Nic nauczyli się i nic zapomnieli niczego z faktów historycznych, a gdzie dochodzą do władzy, tam pokazują, że pozostali tymi samymi, co dawniej, że swoim

---

podłodze. Na to gra! A jeżeli nie chcesz płacić, lanie otrzymasz.

Za niepłacenie turma „nakrywa ciemną,“ tj. bije bez litości, przyczem biją wszyscy, nawet ci, którzy w grze nie brali udziału.

— A tak, tak! Sprawiedliwość! — dało się słyszeć dokoła — Porządek wiadomy! Lanie!

— Kładź się, dyable!

I „żygan“ z towarzyszeniem śmiechu całej turmy położył się na podłodze, pokrytej prawie na cal lopkiem i rzadkiem błotem.

Więźniom nudno; radzi są, gdy się zdarzy mała rozrywka.

A przecież ten „żygan“ dostał się do katorgi za to, że pod wpływem zazdrości udusił swoją żonę. W jego duszy panowały niegdyś burze. Odczuwał on miłość, zazdrość i krzywdę wielką. Jak się wam, czytelnicy, podoba „Otello“ w takich warunkach?!..

Przyszedłem do więzienia podczas obiadu, który już kończono. „Podduwały“ poszli po wodę gorącą do zaparzenia herbaty. Jedni kończyli jeść, inni chowali na wieczór pozostałe kawałki chleba, inni wreszcie kładli się, aby wypocząć trochę.

— No, bracia, teraz „żygana“ trzeba nakarmić! Chodź! Może apetytu nie masz?

Z tapczana wstaje człowiek, któryby mógłby wybornie służyć artyście za model do upostaciowania „Głodu.“ Nic więcej prócz głodu nie malowało się w jego oczach, na twarzy bladej, sinawej, bez krwi, w całej tej postaci słabej, pozbawionej sił. Był to „żygan,“ który już drugi tydzień przegrywał nawet swoją bałandę. Od dziesięciu dni nie miał w ustach odrobiny chleba i jadł tylko rzadką polewkę.

Wielu nawet powstało z miejsc. Więźniowie czuli przedsmak zabawnej sceny. Szczególnie było to widoczne na twarzy jednego chłopca. Znać, że się przygotowywał do jakichś nadzwyczajnych drwin.

„Żygan“ zbliżył się do pierwszego z brzegu, ukłonił się w milczeniu i stanął. Ten z uśmiechem zaczerpnął mu pół łyżki bałandy i dał. „Żygan“ łyknął, ukłonił się i poszedł do następnego.

Był to typowy „Iwan,“ który w poważnej pozie leżał na tapczanie.

— Żyganowi uszanowanie! Na obiad przyszedłeś, co?

— Tak, Mikołaju, synu Stefana! — odrzekł z niskim ukłonem.

— Tak!.. No, a powiedz nam, cobyś teraz zjadł?

„Żygan“ mile się uśmiechnął i odrzekł:

— Zjadłbym ja teraz, Mikołaju, synu Stefana, cietrzewia i cielęcinki, jaj i mięska, nadzienia z prosięcinki, trochę wędlinki, odrobinę wieprzowinki i z chrzanem słoninki. Ślinę pędzi, gdy pomyślę!

— Na, obliż!

„Żygan“ otworzył usta.

— Patrzcie, otworzył paszczę! Łyżkę zlamiesz. Nie! językiem, ostrożnie!

„Żygan“ zlizał przylepiony do łyżki kawałek kapusty.

— Liż do syta!

Poszedł dalej.

— Stój! — woła „Iwan“ — cóż to jest, gburze! Napiłeś się, najadłeś i gospodarzowi nawet nie raczyłeś podziękować?

„Żygan“ znowu się ukłonił do pasa:

— Pokornie dziękuję za dobroć i za łaskę, za gościnność, za dobre słowo i uprzejmość. Życzę gospodarzowi długich lat i jeszcze tyle, i jeszcze pół tyle, i jeszcze ćwierć tyle. Żeby gospodarza parobcy lubili, Bóg dziatki powołał do siebie.

— Tak, tak! Uczyć trzeba was, durniów!—powiedział z uśmiechem „Iwan“— a przecie w „imnazyum“ uczył się. Czego was tam, durniów, uczą? Nieuki!

(D. c. n.).

„polskim parlamentem“ dali całemu światu przykład zamętu, braku karności i nieudolności państwowej. To też niepodobna myśleć o trwałem pojednaniu z nimi. Możliwa jest tylko walka.“

Nie mniej są zaciekłe niektóre organy niemieckie, wychodzące pod berłem austryackiem, które dały powód wiedeńskiemu *Vaterlandowi* do ciekawego artykułu: „Politycy wielcy i mali — pisze ten dziennik — bardzo często ulegają pokusie osiągania dobrych celów za pomocą środków niemoralnych. Akcya państwowa, której początek, a raczej dalszy ciąg, zapowiedział ks. Hohenlohe w Berlinie, jest zjawiskiem wprost przeciwnem: tu środek jest dozwolony, poprawny, cel — niemoralny. Dozwolonym jest niewątpliwie kontrakt prawny, na mocy którego posiadacz polski sprzedaje swoją ziemię Niemcowi. Niemoralnem jest to, że takie kupna i sprzedaże są przez państwo na wielką skalę dokonywane lub protegowane w wyraźnym celu wykorzenienia żywiołu, osiadłego od niepamiętnych czasów. Minimum tego, co poddany żądać może od władzy państwowej, jest to, aby był uznany za jednostkę uprawnioną do bytu, aby nie broniono mu zarabiać, posiadać, wypełniać dozwolonych czynności w jego sferze życiowej. Jeżeli to minimum nie będzie zabezpieczone, jakież państwo współczesne zdoła oprzeć się rosnącym żądaniom socyalizmu? Jakże można bronić dzisiejszej organizacy społecznej, utrzymać obecny podział dóbr, jeżeli samo państwo podejmuje się nietylko jednostki, ale cały lud wydziedziczyć? Takie olbrzymie, wielkimi nakładami pieniężnymi i siłą władzy popieranie wydziedziczania stwierdziła mowa ks. Hohenlohego. Prawda, że zmiana ta ma się dokonać w poprawnej i prawnej formie: majątki nie będą konfiskowane, lecz sprzedawane. Jakaż straszna gorycz musi napełniać serca Polaków, gdy najwyższy urzędnik uważa ich za szkodliwych i za szczep, nad którego osłabieniem pracować chce państwo!“ „Mamy przed sobą dziennik—pisze w dalszym ciągu organ powyższy — który przynosi jęk boleści z Niemiec Zachodnich: Robotnicy polscy mnożą się i grożą wyparciem Niemców. Czy wywoła to akcyę w Niemczech Zachodnich, nie wiemy. Jest to wszakże dziwny zbieg faktów. Ze wschodnich prowincyj Niemiec muszą biedni Polacy emigrować, a z zachodnich, gdzie poszli na zarobek, mają się wynosić. A więc gdzież ostatecznie wolno jeszcze Polakom istnieć? My, konserwatywni Austryacy, nie rozumiemy jawnego machiawelizmu takiej polityki. Mocarstwo oznajmia parlamentowi otwarcie i formalnie, że ten lud ma być tępiony, musi opuścić siedziby przodków i to w jak najszerszych granicach; bo przecież inaczej cała akcya nie miałaby żadnego sensu.“

Oburzając się na krytykę stanowiska państwowego Polaków w Austryi, organ wiedeński bardzo logicznie zapytuje polakożerczą prasę niemiecką: Coby powiedziano w Niemczech, gdyby np. francuski prezes ministrów wniósł projekt, żądający kredytu na wykupienie majątków od Niemców we Francyi, i to nie osiadłych tam z dawien dawna, lecz przygodnie rozproszonych po kraju?

Bardzo otwarcie wypowiada *Berliner Tagebl.* swój pogląd na system germanizacyi: „Potępiamy taką politykę nie dlatego, żebyśmy żywili szczególną sympatyę dla Polaków, albo byli obojętnymi dla sprawy rozwoju niemczyzny, lecz obawiamy się następstw nieobliczonych tej nowej ustawy antypolskiej. Widzimy w niej niebezpieczny zarodek rozkładu, z którego wyrośnie wielkie drzewo niezgody i ciągłego niezadowolenia, tudzież bezustannej walki pomiędzy ludnością.“

To wielkie drzewo nie przestrasza jednak zaciętych wrogów żywiołu polskiego. Przeciwnie — jak dowiodły mowy podczas roz praw sejmu pruskiego — Niemcy wyraźnie swoje życzenia zaznaczają: „Czujcie się Prusakami, a wszystko będzie dobrze!“ Życzenie to dało powód *Dziennikowi Poznańskiemu* do wypowiedzenia gorzkich uwag, z których przytaczamy charakterystyczniejsze wyjątki: „W polityce nie uczucia odgrywają rolę decydującą, lecz przekonania i faktyczne objawy tych przekonań. Uczuć nikt kontrolować i stwierdzać nie może. To też jesteśmy pewni, że gdybyśmy w Kole i po za Kołem oświadczyli, że teraz już zmieniliśmy uczucia polskie na pruskie, zaraźby nam odpowiedziano, że oświadczenie to jest nieszczerem i udanem, że kłamiemy. Tak było już kilkakrotnie. Żądano od nas, żebyśmy się przyznali do przynależności państwowej. Uczyniliśmy to na różne sposoby. Żądali od nas dalej, żebyśmy pracowali wspólnie z innemi stronnictwami nad zadaniami państwowemi. I do tego życzenia zastosowaliśmy się. A jaki skutek? Jedni nam wciąż powtarzają niedorzeczną politycznie piosenkę o chęci oderwania się od Prus, a ks. kanclerz świeżo nowy nam zrobił zarzut, że marzymy o jakiejś federacyi. . Minister v. Miquel zachęca nas do służby na urzędach. Prawda, że jeszcze może coś nad kilkudziesiu Polaków jest w służbie pruskiej, ale rzeczywistej zachęty faktycznej do służby nie widzimy. (Czyżby tego tak bardzo pragnął *Dziennik Poznański? — przyp. koresp.*). Przeciwnie — jest zupełnie utarta opinia, że Polakowi, jeżeli nie niemożebnem, to bardzo trudnem jest uzyskanie urzędu; nawet Niemcom w tej mierze szkodzi ożenek z Polką.“

Na żądania zmiany uczuć *Dziennik* odpowiada: „Mundury się zmieniają, uczucia są darem Bożym, którego wykorzenić nie można, a kto pragnie czyjeś uczucia pozyskać, powinien się o nie starać otwartością, sprawiedliwością i zrównaniem prawa.“

Zabawne to jest prawienie Niemcom o pozyskaniu uczuć lub zalecanie im „sprawiedliwości“ i „zrównania.“ Haseł takich nie wypisywał nigdy na swoim sztandarze ten naród w pochodzie historycznym i kulturalnym. Gdyby jakiś dziejopis zechciał się zabawić w coś podobnego do hieroglifów, nakreśliłby na murach piramidy państwowej, zbudowanej z łupiestwa, następujące znaki symboliczne: dużą pięść, szeroką paszczękę, więzy, bat i kieszeń ogromną.

Hakatyści, nie poprzestając na środkach, stosowanych według powyższej recepty „rozwoju kultury i potęgi,“ szukają pomocników po za granicami swego państwa. Są to Niemcy czescy, nowi apostołowie, obnoszący hakatyzm w innej postaci. W propagandzie nienawiści rasowej, głoszonej za pomocą odczytów, brzmi jedna nuta: „Śmierć Słowianom! Niech żyje pangermanizm!“ Apostołem takim jest p. Funke, redaktor z Lipy czeskiej, który urządził wędrówkę po Poznańskiem i Prusiech Zachodnich w celu podburzania Niemców miejscowych przeciwko Polakom. W Toruniu na zebraniu niemieckiego związku szkolnego miał on wykład o walkach narodowych w Czechach. Przedtem przemówił przewodniczący, p. Behrensdorf. Dowodził on, że położenie Niemców w prowincyach wschodnich państwa pruskiego podobne jest do tego, w jakiem znajdują się Niemcy czescy, z tą różnicą, że tutejszych broni potężna Rzesza niemiecka. Następnie p. Funke wygłosił swój odczyt. Mówił szeroko o bieżącej polityce rządu austryackiego, o rozporządzeniach językowych hr. Badeniego, o walkach w parlamencie wiedeńskim, o utarczkach narodowościowych w Austryi, szczególnie zaś w Czechach. Malował on takiemi barwami barbarzyństwo Czechów i ich znęcanie się nad Niemcami, jakiemi malowano niegdyś piekło dla kościołków prowincyonalnych (lizanie patelni rozpalonej, nurzanie się w smole gorącej itd.). Następnie wywnioskował, że zbliża się walka, która rozstrzygnie, kto będzie panem w Europie: Niemiec, czy Słowianin? Wreszcie zapewnił, że Niemcy w Rzeszy, którzy nie odmawiają poparcia braci austryackiej, mogą liczyć na wytrwałą jej pomoc w walce przeciwko Polakom. Za taki odczyt, który w innych państwach zaliczonoby do kategoryi przemówień, podniecających jedną narodowość przeciwko drugiej, a więc do środków, wywołujących zaburzenia, za taki odczyt podszczuwacza osadzonoby w więzieniu. W Toruniu jednak zarówno przewodniczący zebrania, jak i słuchacze, gorąco podziękowali prelegentowi..

Fakty stwierdziły i stwierdzają ciągle, że w miarę wzrastania ucisku żywiołu polskiego przez germanizm wzrasta odporność uciskanych. Podajemy jeden z licznych dowodów: Ruch ludowy śród Mazurów pruskich rozwija się coraz silniej i pomyślniej. Niedawno w redakcyi *Gazety Ludowej* w Ełku odbyło się walne zebranie Mazurów dla ostatecznego zerwania ze stronnictwem konserwatystów niemieckich i ułożenia zasad programowych „partyi ludowej mazurskiej,“ która przedewszystkiem postanowiła bronić gospodarzy wiejskich i ludność robotniczą. Oto są postulaty, zatwierdzone na zgromadzeniu powyższem: 1) połączenie gminy z dworem; 2) sprawiedliwsze płacenie ciężarów szkolnych ze strony dworów; 3) sprawiedliwszy podział ciężarów przy budowaniu gościńców; 4) lepsza organizacya opieki nad ubogimi; 5) zlecenie miejscowej policyi sołtysowi; 6) wybory wójta przez gminę; 7) liczniejszy zastęp gospodarzy w sejmiku powiatowym i w Izbie rolniczej; 8) przystępniejsze używanie funduszu melioracyjnego dla stanu gospodarskiego; 9) tańsze taryfy dla sztucznych nawozów; 10) wydzierżawienie królewskich domen gospodarzom (to znaczy: domeny parcelować i wydzierżawiać gospodarzom); 11) zniesienie majoratów; 12) zachowanie religii i języka ojczystego; 13) zaprowadzenie na Mazowszu drobnego przemysłu, celem utrzymania na miejscu robotnika; 14) budowa kanału mazurskiego na Orzerze, Rajgród itp.; 15) swoboda stowarzyszeń i zgromadzeń; 16) udzielanie dyet posłom parlamentu; 17) utrzymanie powszechnych, równych, tajnych wyborów do parlamentu; 18) zaprowadzenie tychże wyborów do sejmu.

et.

LISTY Z PARYŻA.

Z tragedyj zimowych: samobójstwo z nędzy malarza, nagrodzonego niegdyś „nagrodą rzymską.“ — Proletaryat umysłowy we Francyi.—Wystawa obrazów Jana Nałęcza.

Zima w Paryżu, to nie wysokie kościste widmo, wyżymające ze wszystkiego życie, ściskające ziemię obręczą mrozu, wnikające do głębi ciała podmuchem wiatrów. Nie. Ma ona raczej temperament wietrznicy, rzadko zawziętej, zawsze kapryśnej, zmiennej co kilka dni. Tęgie przymrozki, wilgotne powiewy od morza, odwilż, ciepło, znowu mróz następują bezładnie po sobie.

Lecz nawet mimo niewielu dni prawdziwie zimnych, biedak miejski mówi sobie w duchu: bodaj ich nigdy nie było. Wszelkie przytułki, wszystkie zakłady nie zmieszczą ziębnących i po lada zniżeniu się temperatury pisma przynoszą wieść o nieszczęsnych, którzy zamarzli, o samobójstwach z nędzy. Zresztą są to niestety rzeczy tak zwykłe w wielkich miastach, że nie będę się o nich rozpisywał.

Wspomnę jedynie o wypadku, który żywo wzruszył ogół, nawet w chwili rozgardyaszu dreyfusowskiego.

Trzydziestego stycznia na podwórzu szkoły sztuk pięknych jakiś człowiek, przeszło czterdziestoletni, przekłuł się trzykrotnie nożem, potem — ponieważ śmierć nie nadchodziła—dobił się z rewolweru. Okazało się z papierów, znalezionych przy nim, że był to jeden z najwięcej obiecujących dawniej wychowańców tej szkoły. W r. 1886 otrzymał wielką nagrodę rzymską, o której marzy każdy poczynający malarz. Z Włoch przysłał kilka obrazów cenionych, a jednak tak trudne były warunki wybicia się i wypłynięcia, że zamiar samobójczy zdołał usidlić umysł, który posiadał przecie niepoślednie siły do walki o byt.

Prawda, że było w tem potroszę jego winy. Nęciło go malarstwo na szkle i jak ongi mistrzowie Odrodzenia, chciał on nietylko malować witryny, ale zająć się i techniczną stroną tej wytwórczości. Niestety, znalazł tak mało zainteresowania dla tego działu sztuki, że wpadał w coraz gorszą biedę, a gdy nawiedziły go jeszcze nieszczęścia rodzinne, podniósł dłoń samobójczą.

Brak żyłki artystycznej w mieszczuchu francuskim, obojętność względem utworów, które rozogniały niegdyś Greka, Włocha, Flamandczyka, nie należy wcale do tajemnic. Ale potrzeba dodać jeszcze, że położenie adeptów sztuki, jak wogóle ludzi pracujących duchowo, pogarsza się z każdym dniem, wskutek rosnącej liczby proletaryatu umysłowego. Ambicya warstw niższych dostarcza społeczeństwu ludzi oświeconych, którzy jednak najczęściej nie posiadają środków do ostatecznego zwycięztwa w walce o chleb i miejsce. Nie mogąc wedrzeć się nawet do przedsionka zamożności, błądzą tłumnie u jej bram, głodni, skostniali i potrząsani dreszczem niezadowolenia, póki nareszcie nędza i tego im nie odbierze.

W *Revue des Revues* z roku bieżącego znajduje się artykuł H. Bérengera o proletaryacie umysłowym Francyi. Jest on nie bez usterek: cyganeryi np. nie zalicza do proletaryatu (!); za najwyższą granicę tej klasy przyjmuje autor 8,000 fr. rocznego dochodu. Lekarze i adwokaci, którzy zarabiają mniej, należą już do proletaryuszów. Po za tem dane statystyczne Bérengera są poważne i wiarogodne.

Co za ogromny wzrost studenteryi! W r. 1869 było: na prawie 5,220 studentów, na medycynie 4,000, na filozofii 150, na wydziale przyrodniczym 100, na farmacyi 300; razem 10,972.

W r. 1888 ilość słuchaczów prawa była o kilkadziesiąt osób mniejsza, o medycynie i farmacyi brak danych. Filozofia miała już *2,358*, nauki przyrodnicze *1,335*; razem 17,630.

Więc już olbrzymie podniesienie się liczby kandydatów na miejsca nauczycieli gimnazyalnych. Na filozofii piętnaście razy, na wydziale przyrodniczym trzy razy większe. Jedną z przyczyn ciążenia ku tym zawodom był przedewszystkiem zupełny prawie brak opłat. Dopiero w ostatnich latach — zapewne dla zmniejszenia ilości uczniów — poczęto wprowadzać płacę za laboratorya, niedawno podwyższoną do dużej wysokości.

Jak było z medycyną i farmacyą w ciągu lat, nie wiemy. Ale w 1896 ilość słuchaczów pierwszej wynosiła 8,485 (dwakroć tyle, co w 1869), drugiej 3,076 (dziesięciokrotne zwiększenie). Filozofia liczyła wówczas 3,475, nauki przyrodnicze 3,050 (od 1888 trzykroć więcej). Wreszcie prawo, dotąd lekceważone, zostało zalanem. W 1896 słuchało wykładów na tym wydziale 8,876 osób.

Ta jedna tabliczka mogłaby nam wystarczyć. Należy właściwie odjąć z owej wielkiej sumy kilkaset kobiet, gdyż ukończywszy wydział przyrodniczy, filozofię, medycynę, z nielicznymi wyjątkami nie szukają zajęcia we Francyi. Szkoda także, że Bérenger nie mówi nam, czy pod studyującymi nauki przyrodnicze należy rozumieć i pracujących w zakresie chemii, a więc przeważnie szukających miejsc w fabrykach. Zresztą odjemnik nawet w tym wypadku byłby niezbyt znaczny.

Bez bliższych zresztą wiadomości, jakie podaje autor aż na dwudziestu stronicach, moglibyśmy wysnuć z przytoczonych cyfr poważne wnioski. Z pomiędzy słuchaczów filozofii rekrutują się nauczyciele gimnazyalni, nadzorcy młodzieży w internatach szkolnych, literaci i dziennikarze. Przepełnienie w dwóch ostatnich działach jest powszechnie znanem. Co do nauczycieli, uniwersytet wydaje ich rocznie 1,100 na trzysta miejsc wolnych. Jak radzi sobie reszta? „W C., mieście niedaleko Paryża, kilku profesorów kolegium miejskiego pobiera rocznie tylko 1,900 fr.; mają żony i dzieci. Nie sposób jest z tej sumy odziać się, wyżywić, opłacić mieszkanie. Otóż korzystają z tego, że w C. jest wielka drukarnia B., tłocząca wiele książek paryskich. Po szkole idą tam pracować. Prowadzą korektę i zarabiają w ten sposób półtora franka dziennie. Nie potrzebujemy dodawać, że zmniejsza to dla nich szacunek w klasach zamożnych.“

Więc takim bywa los ludzi, którzy znaleźli miejsce. O ile gorszym jest nieumieszczonych! Żyją z lekcyj, rzucają się na wszystkie strony, współzawodniczą z sobą zajadle, aż często padną z wysiłków.

Wzrost ilości słuchaczów medycyny wyjaśnia dostatecznie manifestacye przeciw kolegom cudzoziemskim i ostatnie prawa wydane w tym kierunku. Napływ do szkoły prawa jest wyrazem rozwoju biurokracyi, rozwoju ogromnego, popieranego zresztą przez rząd nadsekwański, gdyż pozwala mu wyrobić sobie oddaną warstwę reakcyjną. O tej warstwie i o znaczeniu jej w ostatnich latach pomówię obszerniej w jednym z najbliższych numerów *Prawdy*, poruszając znaczenie społeczne toczącego się obecnie procesu Zolowsko-Dreyfusowskiego.

Tak więc kilka tych danych wystarczy nam do wyrobienia sobie niejakiego pojęcia o proletaryacie umysłowym Francyi i o jego smutnem położeniu.

Ale przejdźmy z dziedziny smutków życia współczesnego w kraj weselszy, na łono przyrody. P. J. Nałęcz, malarz widoków górskich i północnych, znany u nas, ceniony w Anglii i Szkocyi, urządził przed wyjazdem swym do Norwegii, gdzie zwykł zbierać tematy, wystawę swoich obrazów.

Od kilkunastu lat już północ skandynawska wabi ku sobie coraz większe zastępy podróżnych europejskich. Szczególnie Norwegia budzi zajęcie wspaniałymi widokami. Przyroda górska rozwija tam w całej pełni swą krasę; jeziora, bory jodłowe, siklawy, skały — wszystko przybiera tam rozmiary ogromne, czuje się brak jedynie wyniosłych szczytów. Lecz za to morze wciska się nieustannie w ląd i to morze kapryśne, nie ciche jak Śródziemne, ale niespokojne, wciąż robiące niespodzianki. Tu wrzyna się jak srebrny nóż w głąb skał, owdzie rozlewa się w cichą zatokę, a o kilkadziesiąt kroków wre, szumi i ryczy, przypuszczając atak do wyżyn. Wszędzie przytem samotność; jedzie się dniami całymi, nie spotykając osad.

Ten brak dwunożnych owadów ludzkich, ta dzikość natury pociągały najwięcej naszego malarza. Odbija to najulubieńszy jego obraz wśród wystawionych: „Morze w północnych Lofodach“ (grupa wysp przy brzegach Norwegii północnej). Na piętrzących się górach leżą w załomach lodowce, lecz ku dołowi uwidocznia się ich ustawiczna wędrówka. Topniejące płaty lodu zsuwają się zwolna w zalew morski, nad niemi ptak nawet nie kołuje. Ogromna pustka, surowość skał, trochę porostów na nich, a w górze niebo chmurne i siwe.

O wiele większym jest krajobraz również z Lofodów, lecz brany o godzinie południowej. Lato Północy jest gorące, słoneczne, choć krótkie. To też i tu niebo otrząsa z siebie chmury i śmieje się jasnym błękitem. Od błękitu modrzeje woda, która u brzegów nabiera fioletowych odcieni wskutek odbicia się niebotycznych skał. W zagłębiach zboczy bieleje śnieg, na przestwór wodny rzuca on jasne, srebrzyste plamy. Znowu samotność. Duże kamienie u wejścia fiordu śpią, zdaje się, w słońcu, granitowe skały podnoszą się surowo, u dołów tylko okryte kosodrzewem i brzozą. W głębi fiordu widnieje okręt, ale jest on tak drobny i mały wobec olbrzymów skalnych, jak dziecko wobec wieży.

Wielkie to malowidło, znacznych rozmiarów, zostawia po sobie wrażenie pięknego utworu, zdradzającego i poetyckie usposobienie malarza i bystrą obserwacyę odcieni barw.

Ale wystawa zawiera i kilka obrazów tatrzańskich. Malarz nietylko w obczyźnie znajduje tematy. Są tam „Tatry w słońcu,“ „Morskie oko o trzeciej zrana,“ kiedy mgły jeszcze nad niem się kłębią, a słońce całuje najbliższe szczyty. Najwięcej podobać się może „Melodya mgieł wieczornych.“

Na upłazie górskim wznosi się szałas. Drożyna wybiega prawie ku niemu, potem skręca w dół i gubi się. Z zielonych traw wystają kamienie. Chatka stoi samotna na brzeżku skały, z komina podnosi się dym.

Już nadciąga wieczór. I z rozpadlin, ze szczelin, z przepaści poczynają wydobywać się mgły. Podnoszą się nieustannie, aby zasnuć cały horyzont. Lecz na niebie nie zgasło jeszcze słońce. Bliskie zapadnięcia śle jeszcze promienie i od nich opary nabierają różnych odblasków. Najwyższy obłok stroi się w barwę cielistą, pod nim jakby rozpiął kto baldachim bladego fioletu. Jeszcze niżej odcienie przechodzą w zieleń, w szarość, aż wreszcie najniższe są ciemne, jak zmrok, który wnet zapanuje.

Surowy nieco koloryt Nałęcza nabrał w tym miłym obrazie miękkości i harmonii.

W. Bugiel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dążności kruchty. — Odgłosy cudzej walki u nas.— „W nieskończoność.“

Trzeba się zdumiewać nieraz, jak drobnem jest to minimum, które człowiekowi wystarcza do podtrzymania życia fizycznego i umysłowego. Chemia zapewnia, że kartofle zawierają niezmiernie mało pierwiastków pożywnych; nasz lud jednak karmi się głównie kartoflami i jest zdrów, a nawet dość silny. Zdawałoby się, że prostak, który nie umie ani czytać, ani pisać, nie może dokonywać szerszych operacyj przemysłowo-handlowych; tymczasem spotykamy go ciągle prowadzącego rozległe interesy i zawierającego rejentalne umowy, pod któremi podznacza się krzyżem. To maleńkie minimum jest z jednej strony tamą rozwoju potrzeb jednostkowych i społecznych, a z drugiej — podstawą moralnego i materyalnego wyzysku. Bo jeżeli sam kartofel ochroni od śmierci głodowej i pozwoli zachować siły, po co starać się

o lepsze pożywienie? Człowiek w swym postępie daleko mniej kroków zrobił z własnej woli, niż z musu. Gdyby nie potrzebował był kuć coraz nowych ogniw w długim łańcuchu cywilizacyi, możeby dotąd na całym jej obszarze siedział leniwie z otwartą gębą, do której wpadałyby pieczone gołębie. Na szczęście konieczność kazała mu być pracowitym, zabiegliwym, wynalazczym, genialnym. Ale nie każdy posuwał się na równi z innymi i nie każdy z walki o byt wychodził zwycięzcą. Po długim pochodzie i starciach zdolniejsi i szczęśliwsi znaleźli się na przedzie lub w górze, upośledzeni przez naturę i los — w tyle lub na dole.

Dotknąłem tej sprawy przykładowo dla wyjaśnienia powyższych uwag i nie będę jej dalej rozbierał, gdyż nie chodzi mi w tej chwili o dziedzinę stosunków ekonomicznych, lecz umysłowo-moralnych. Taż sama dążność, która się objawia w pierwszej, występuje również w drugiej. Jak istnieją warstwy społeczne, które pragną mieć możliwie najtańszy najem, tak istnieją warstwy, które pragną mieć w podłożu swojem pokłady możliwie surowe i niedotknięte kulturą. Ta chęć zbyt wyraźnie się odzywała i urzeczywistniała w naszej przeszłości, ażebym potrzebował tu jej dowodzić. W nowszych czasach pod wpływem wstydu, rozwagi i poczucia sprawiedliwości wyrzekliśmy się starej teoryi kółek oliwnych, pływających na wierzchu zatęchłej i zamulonej sadzawki. Uznaliśmy, że należy poprawić dobrobyt i podnieść niedolę ludu. Rzeczywiście, idea ta rozlała swoje światło dość szeroko w naszem społeczeństwie i przeniknęła w te sfery, w których nie bywała nawet nocną gwiazdą. Nie ogarnęła ona wszakże całego narodu: jej promienie po niektórych tylko żywiołach się prześlizgnęły, od innych — odbiły. I oto znowu, jak przed dwustu laty, chociaż w obłudniejszej formie, zaczyna coraz wyżej podnosić głowę hydra, pragnąca zmniejszyć minimum potrzeb umysłowych ludu. Pod dzisiejszą datą trudno już głosić publicznie, że chłop lub wyrobnik miejski powinien być utrzymany w ciemnocie i odsunięty od najprostszych źródeł kultury. Nie, tego się nie wykrzykuje, to się szepcze tylko do własnej myśli i zaufanych przyjaciół, na widowni zaś deklamuje się o szkodliwych skutkach szerzenia „bezwyznaniowości“ i o obowiązku dawania niższym klasom tylko książek „chrześciańskich“ lub „katolickich.“

Z powodu ostatnich wyborów w Towarzystwie dobroczynności kruchta naszej prasy zaczęła śpiewać gorzkie żale. Zwykłą taktyką wszystkich faryzeuszów zaczęła wojować kłamstwem. Członkowie zarządu mają być według niej „bezwyznaniowcami.“ Wymysł ten przypomina owego anegdotycznego chłopa, który łżył przeciwnika „sufraganem,“ bo rzeczywiście tylu między członkami zarządu Towarzystwa jest bezwyznaniowców, ilu jest sufraganów — czyli—niema ich wcale. Ale dla tłumu pewne wyrazy posiadają przekonywające znaczenie: we Włoszech mówi się mason, we Francyi—Prusak, w Niemczech — nieprzyjaciel państwa, u nas — Żyd albo bezwyznaniowiec — i to skutkuje. Mniejsza wszakże o słownik faryzeizmu, o ciągłe zbezczeszczanie najuczciwszych i najpożyteczniejszych ludzi potwarzą — przyzwyczaili się oni do niej, jak do jesiennego błota i byliby mocno zdziwieni, gdyby ono przestało obryzgiwać im nogi. Chodzi o rzecz ważniejszą — o chęć wyrządzenia ciężkiej krzywdy umysłowej ludowi. Przy Towarzystwie dobroczynności istnieją bezpłatne czytelnie. Jakkolwiek dobór ich książek przechodzi przez bardzo gęste sita komitetów i zawiera tylko takie wydawnictwa, po których nie przesunął się nawet cień „bezwyznaniowości“ (wyłączonej zresztą zupełnie z całej literatury naszej przez samą ustawę cenzuralną), kruchta chciałaby naśladować Omara i zniszczyć wszystkie druki, które nie są jej Koranem. Pragnęłaby ona odebrać prawie wszystkie znakomitsze utwory powieściowe, prawie wszystkie dzieła przyrodnicze i ekonomiczne, a wstawić jedynie... co? Jeżeli jeden z mężów tego bractwa oburza się na „socyalizm astronomii,“ to można mieć przybliżone pojęcie, co ocalałoby od niełaski naszych Omarków.

W tej przewrotnej fali wsteczniotwa ujawnia się stara dążność do zmniejszenia minimum duchowych potrzeb i zadowoleń ludu, a ujawnia się wtedy, kiedy rząd pozwolił na zakładanie bibliotek gminnych i kiedy śród naszych usiłowań społecznych zrodziło się silniejsze poczucie zbyt długo zaniedbanego obowiązku klas oświeconych względem ciemnych. Że mogą się znaleźć jednostki, które tego łakną, nie dziwno, bo ród ludzki jest tak bogaty w swej rozmaitości, iż w niej jest miejsce dla wszelkich odmian; ale że takie jednostki zyskują posłuch i poklask, to tylko dowodzi, że historya nie wypowiedziała nam jeszcze całej swojej nauki, albo że jej dotąd nie zrozumieliśmy.

Na głowie naszej Meduzy dziennikarskiej wyrósł świeży lok wężowy — Zola. Niezmiernie ciekawem jest obserwowanie tej nowej gadziny, znamionującej szlachetność zacnych dusz, które ją zrodziły. We Francyi skazano na więzienie wygnańcze zwyczajnego kapitana za mniemaną zdradę tajemnic armii. Czy w tym wypadku tkwi jakaś wielka idea? Nie. Krewni i przyjaciele skazańca, mając dowody nieprawomocności wyroku, podjęli energiczne zabiegi w celu sprowadzenia rewizyi procesu. Może w tem ich przedsięwzięciu tkwi owa idea? Także nie. Ale oto na pole zaciętej, szerokie koła narodu ogarniającej walki występuje genialny pisarz, który powiada: oskarżam sąd o to, że popełnił niegodziwość, obciążając zbrodnią i hańbą niewinnego człowieka dla pokrycia jego krzywdą cudzych przestępstw, i domagam się, ażeby ten nieszczęśliwiec był postawiony przed innym sądem, sprawiedliwym i jawnym. Dopiero w tem żądaniu jest idea, którą wyrazić można tak: jeżeli sąd potępił niewinnie jednego człowieka czy to w interesie własnym, czy w interesie ogółu, naród nie powinien ani tolerować, ani wyzyskiwać takiej ofiary, lecz powrócić skrzywdzonemu cześć i swobodę. Jakkolwiek jest mi to bardzo wstrętnem, pojmuję Francuza, który gotów poświęcić „jednego Żyda“ dla korzyści ogólnej, dla „honoru armii“ i „stosunków międzynarodowych“; ale jaka w naszej duszy może być pobudka, któraby nam kazała domagać się takiego „użytecznego“ gwałtu? Co nas obchodzi Dreyfus, jego sędziowie i honor armii we Francyi? Nas obchodzić może tylko wzniosła idea—i tę właśnie przedstawia Zola. Jeżeli on nią zapali Anglika, Włocha, Hiszpana, Polaka—to jest zrozumiałem; ale jeżeli Anglika lub Polaka wściekа Dreyfuss i zachwycają jego sędziowie lub wyzuci z wszelkich skrupułów przeciwnicy — to doprawdy może zrozumieć tylko zwierzę, które odczuwa pokrewne instynkty drugiego zwierzęcia, nienawistnego trzeciemu. I rzecz szczególna, a dla naszego wieku bezczelnej obłudy niezmiernie charakterystyczna, że owymi wrogami skazańca i wyznawcami teoryi krzywdzenia jednostki dla interesu społecznego są rzecznicy moralności, opartej na „przebaczeniu i miłości bliźniego,“ pogromcy „etyki utylitarnej,“ której obrońcy walczą za sprawiedliwość. Jest to widok nietylko oryginalny, ale zarazem poniżający, jakiem kłamstwem i nieprawością są beczenia wilków w jagnięcej skórze, wszystkie owe „chrześcianizmy“ bez Chrystusa.

Powtarzam, co niedawno powiedziałem: chociażby nieszczęsny Dreyfuss był sto razy zdrajcą, Zola, który, wierząc w jego niewinność, rzuca się w odmęt nierównej walki, naraża swoje życie, musi codziennie znosić obelgi i odpierać ataki dzikiego motłochu, grożącego mu śmiercią a nieoszczędzającego żadnej zniewagi, wszystko to zaś czyni z najszlachetniejszych pobudek, ów Zola, który składa dowody nadzwyczajnej odwagi, miłości dla prawdy i prawa, może być przykładem męztwa, przedmiotem podziwu i szacunku. Ale skąd płyną sympatye dla takich intrygantów, nieponiów, fałszerzy, łowców ryb w mętnej wodzie, „souteneurów“ politycznych, jakimi są Esterhazowie, Clamy i inne obskurne płazy, które z mętów życia na wierzch wypłynęły — to pozostanie tajemnicą serc, które dla nich biją współczuciem.

Epoka nasza zatopiła się wyłącznie w sobie: nie chce pamiętać o tem, co było przed nią, ani przewidywać tego, co będzie po niej. Stąd jej krótkowzroczność, stępienie umysłowe i bezwrażliwość sumienia. Ludzi, którzyby rozważali przeszłość i którzyby rzucali wzrok w przyszłość, jest tak mało, że aż wydają się dziwolągami lub potworami. To też trudno nazwać symbolem obecnego świata tę zagadkową głowę, którą p. Laszczka wystawił w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych z tytułem: „W nieskończoność,“ ale trzeba ją uznać za symbol nielicznych duchów, które usiłują sięgnąć spojrzeniem jeżeli nie do krańców wszechbytu i wszechczasu, to przynajmniej daleko po za granice teraźniejszości. A ponieważ jest to jeden z najoryginalniejszych tworów naszej rzeźby, więc radzę każdemu go poznać i wyczytać zeń szczególny wyraz, jaki w nim wyrył artysta. Przedstawia on głowę kobiety brzydkiej, nieokreślonego typu, której zsunięte fałdy czoła nad głęboko osadzonemi oczami i zaciśnięte usta składają się na wielką, dreszczem przejmującą grozę. Zdaje się, ta twarz nie ma płci, nie ma rysów, nie ma ludzkich namiętności, ma tylko w bólu niezmiernie wytężoną myśl, którą widzi nieskończoność. Czy ta jej surowość zmieszana z cierpieniem jest odbiciem wrażeń teraźniejszości, czy też widoków gdzieś daleko dojrzanych, czy ją w tym wyrazie skamienił byt obecny, czy też odległy, po za naszem istnieniem i poznaniem leżący? Sfinksy nie tłomaczą się jasno. Ten mówi tylko: patrzę w nieskończoność. Niewątpliwie giną nam z przed oczu wszystkie nici i wzory obecnej tkaniny życia, wszystkie osie, na których obracają się nasze sprawy, wszystkie podpory naszych prac i marzeń, wszystko to, co nas olśniewa i mroczy, zachwyca i rozdrażnia, rozgrzewa i chłodzi — pozostaje tylko jakiś bardzo daleki punkt, wzniesiony po nad całą doczesnością, na którym zawisł ten wzrok zimny, groźny, potężny, oczyszczony z powszednich przymieszek, chociaż niepozbawiony promienia bólu. Takich twarzy jednocześnie wyrazistych a zagadkowych, smutnych a lodowatych, głębokich a prostych, rozumnych a strasznych, niewiele stworzyła sztuka europejska. Żadnym też innym utworem p. Laszczka nie okazał dowodniej swego wielkiego talentu. Powiedziałbym, że dał nam arcydzieło, gdyby ta nazwa nie była u nas wytartą nadużyciem. Kto raz widział tę jego pracę, nigdy jej nie zapomni i przyzna, że największym filozofem jest zawsze geniusz, czy uczy, śpiewa, maluje, czy też rzeźbi.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

MĘŻCZYZNA I KOBIETA.

Dążenie kobiety do samodzielności przestało być mrzonką. Przybrało ono takie rozmiary, iż nawet ci, którzy oburzają się na myśl przyznania naszym rodaczkom szerszych praw w życiu, muszą się z niem liczyć. Warunki bytu społecznego ukształtowały się w taki sposób, iż kwestya niewieścia musi z każdym dniem zyskiwać na doniosłości. Przytem winniśmy zastrzedz się z góry, że nam bynajmniej nie chodzi o tak zwane emancypantki. Mówią one dużo o sobie, ale, bądź co bądź, nie stanowią głównego zastępu armii niewieściej. Są tam tłumy wyrobnic z pośród ludu miejskiego, mierzone nie tysiącami, ale setkami tysięcy i nawet milionami głów — kobiety, które zarobkują po za domem i uczestniczą w walce o kawałek chleba. Są liczne gromady kobiet inteligentnych, rzuconych w świat bez opieki męża i utrzymujące się z tego, co własną, uczciwą pracą zdobędą. Milczą one, niekiedy nawet nie mają pojęcia o tem, iż powoli rozluźniają pęta, w których długie wieki kobieta przebywała; w walce pozadomowej odwykają od obowiązków naszych prababek, uczą się samoistności, nabywają zwolna zgoła innego usposobienia ducha, co więcej nawet — gesty ich i ruchy przeinaczają się. Powstaje nowy typ niewieści, obcy zupełnie wiekom ubiegłym, gdy znano tylko gospodynię-wychowawczynię. Zastęp to olbrzymi. Praca pozadomowa jest dla niego koniecznością, bo źródłem utrzymania, umożliwiona zaś została dopiero za naszych czasów, dzięki zjawieniu się maszyny, tj. narzędzia, wymagającego nie siły mięśni, lecz giętkości członków. Przynajmniej tak rzeczy stoją dla najgłówniejszej i najliczniejszej grupy kobiet, dla przedstawicielek warstwy robotniczej. Istnieje jeszcze inny czynnik, bez którego porzucenie przez kobietę dawnych obowiązków byłoby niemożliwe, mianowicie rozkład produkcyi domowej. Wypiek chleba, wyrób ciast, wędlin i konfitur, oraz mnóstwo innych zajęć wymknęło się już z rąk kobiety i dostało się wyodosobnionym fachom w społecznym podziale pracy. Taki sam los spotyka obecnie pranie, wychowywanie dziatwy, i nawet kuchnię. Kobieta, zwolniona od zajęć, których w dawnych wiekach nie mogłaby w żaden sposób porzucić, ma dzisiaj możność szukania zarobku po za domem. Nawet stróże moralności społecznej, gdyby nie odznaczali się zupełną nieudolnością myślenia, powinniby popierać te usiłowania, ażeby ochronić jednę połowę narodu od znieprawienia zmysłów w oczekującem ją próżniactwie. Epoka nasza stawia przed kobietą dwie możliwości: albo znajdzie ona zajęcie w społecznym podziale pracy, które zapełni brak zajęć w domu, i pozostanie zdrowym członkiem społeczeństwa, chociaż posiadającym inną fizyognomię duchową, aniżeli jej prababka; albo też ogołocona z poważnych zadań życia i zamknięta w szrankach opustoszałego ogniska kuchennego, stanie się rozkapryszoną, histeryczną damą.

W powyższych uwagach bynajmniej nie chodziło nam o wyznaczenie w całej rozciągłości przyczyn i skutków ruchu kobiecego, lecz tylko o położenie nacisku na tem, że nie jest on zjawiskiem sztucznem, ani chwilowem, że nie wynika z kaprysu jednostki, lecz ogarnia masy i wypływa z głębszych i nawet bardzo głębokich potrzeb, że odznacza się żywiołowem parciem, porywając kobietę wbrew jej życzeniom nawet i zamiarom. Naturalnie, zaznaczając taką żywiołowość, bynajmniej nie chcemy zaprzeczać ani roli inicyatywy świadomej, ani skutków działalności jednostek. Przeciwnie, przypisujemy im jak największą doniosłość. Życie społeczne w swym samorzutnym rozwoju tylko stawia zadanie, lecz rozwiązać je może człowiek, świadomy celów. Na taką świadomą, celową działalność przypada nietylko zniesienie przeszkód prawnych, stojących na zawadzie znalezieniu przez kobietę zarobków, ale także wskazanie dróg postępowania.

Między innemi antropologia kobiety jest jednym z bardzo pożytecznych przyczynków w takiem wybijaniu się jej na wierzch. Jej mózg, jak zresztą wszelki mózg, powiększa się tylko do pewnego wieku, przyczem dosięga swego *maximum* o wiele wcześniej, niż u mężczyzn. Wzrost jej ciała, dojrzewanie jej instynktów, obieg jej krwi kształtują się także inaczej. Wciąż spotykamy się tam z właściwościami, wymagającemi odpowiedniej hygieny. Antropotechnika zaprotestowała przeciw mieszczańskiej mrzonce równości, dokładniej: szablonu, przypuszczającego, iż wszyscy są jednako ukształtowani. Domaga się on nawet dla dziatwy tej samej płci zróżniczkowania metod kształcenia odpowiednio do temperamentu, wcześniejszego lub późniejszego rozwoju instynktów itd. Szablon, który wykazał nicość swoją nawet w zakresie tej samej płci, będzie jeszcze mniej wart, jeśli go zastosujemy bez żadnych zastrzeżeń dla obu. Podkreślając tę rozmaitość natur, bynajmniej nie dążymy do zamknięcia przed kobietą jakichkolwiek dziedzin pracy lub wyłączenia jej od pewnych obowiązków i prac społecznych — nie! Tylko żądamy, ażeby zrozumiano, że jej organizm ma pewne wymagania, którym trzeba zadość uczynić, że największy przyrost jej sił fizycznych następuje nie w roku siedemnastym, jak u mężczyzny, lecz wcześniej, że umysł jej także wcześniej dojrzewa, że jej przyszłe zdrowie, oraz zdrowie jej potomstwa domaga się mniej napiętej pracy umysłowej w pewnych latach życia, mianowicie wtedy, gdy siły fizyczne najbujniej się rozrastają.

Nauka rozporządza mnóstwem drobnych przyczynków do porównawczej antropologii obu płci, zwykle dotyczących tylko nieznacznej sfery ich życia, natomiast niewielu takimi, w których zestawiono cały ogrom istniejącego materyału i porównano go. Często się zdarza, iż nawet takie prace, z pozoru naukowe i sumienne, w sposób zamaskowany fałszują fakty, ażeby je wyzyskać na rzecz z góry powziętej tezy, zwykle przeciw kobiecie. Z pośród prac, ogarniających wszystkie strony organizmu kobiecego, znamy tylko dwie: d-ra Plossa i Havelock Ellisa *). Pierwsza zajmuje się tylko porównawczem zestawieniem i rozwojem właściwości kobiecych wśród różnych szczepów rodu ludzkiego, druga zestawia mężczyznę i kobietę. Świeżo została ona przełożona na język polski. Pracę tę, może nie zawsze dającą odpowiedź, ale za to sumienną, powitaliśmy z prawdziwą przyjemnością; pamflet zbiorowy Cezara Lombroso i Ferrero, wydany przed kilku laty, przyczynił się do spoglądania na kwestyę kobiecą w sposób niesympatyczny i szkodliwy, książka Havelock Ellisa posłuży za pewną przeciwwagę i da wyobrażenie o tem, jak nauka powinna w takich razach się zachowywać. Tutaj słów kilka musimy powiedzieć i o samym autorze, osobistości rdzennie angielskiej. Havelock Ellis należy do grupy badaczów, którzy wszystkie siły swoje zwrócili w kierunku wyjaśnienia i wyświetlenia różnych zagadnień praktycznych. Z przekonań szczery demokrata idzie na czele humanitarnych dążeń młodej Anglii. Wierząc, iż tylko wiedza może wskazać środki usunięcia niedomagań społecznych, iż wszelkie naciąganie jedynie może przynieść szkodę, zestawia on fakty, niekiedy unikając wszelkich wniosków. Powstrzymuje go obawa, iż może się pomylić i zamiast wskazania drogi, poprowadzić na manowce.

Trudno wdawać się nam w przedstawienie treści książki Havelock Ellisa. Rozdział za rozdziałem ciągną się tam spisy faktów i ocena spostrzeżeń dotychczasowych — materyał cenny, ale niemożliwy do powtórzenia w krótkim artykule. Zatrzymamy się tylko nad pewną stroną dzieła antropologa angielskiego. „Badania nasze — pisze on sam o duchu pracy swojej — wskazują nam, z jakim stanem umysłu powinniśmy się zbliżyć do zagadnienia; trudno powiedzieć, żeby rozwiązywały zadanie. Pomimo to nie będą bez pożytku. Zawsze dobrze stawiać szczerze pytania i umieszczać je w miejscu właściwem."

Jak więc Havelock Ellis postawił pytanie?

Przyznaje on szczerze, iż nie zdołał, w zakresie tak zwanych drugorzędnych i trzeciorzędnych cech, określić zasadniczych i istotnych znamion, które odróżniałyby mężczyznę od kobiety bez względu na warunki miejsca i czasu. „Niekiedy dostateczna indukcya faktów, np. w kwestyi przypuszczalnych różnic w oddychaniu, wystarcza do pokazania, co jest tam sztucznem, a co istotnem; w innych wypadkach (jak w różnicach czułości dotyku) im więcej faktów, tem rezultaty nasze stają się chwiejniejszymi i niepewniejszymi. Możemy uznać, że nasza dzisiejsza znajomość mężczyzny i kobiety nie mówi nam nic o tem, czem oni być mogą lub powinni, lecz czem są obecnie przy warunkach istniejących. Przez okazanie, że wśród różnych warunków mężczyzna i kobieta mogą się zmieniać do nieskończoności, dokładna znajomość faktów zabrania nam wypowiadać dogmaty o względnych sferach działalności mężczyzn i kobiet." Zaiste, pytanie zostało postawione w sposób sumienny a szczery. Autor z całą świadomością zaznacza tę okoliczność, że wiele z różnic, spostrzeganych pomiędzy płciami, choć istnieją, są przecież wytworem pewnej epoki i wraz z nią mogą zaniknąć. Fakty są jego zdaniem zbyt złożono, ażeby można było pospiesznie wnioskować o ich znaczeniu i przytem przy zmianie otoczenia mogą uledz takiemu przeinaczeniu, iż w braku odpowiedniego doświadczenia niepodobna wydawać sądów ostatecznych o zachowaniu się organizmów męzkiego i żeńskiego, gdy znajdą się one w nowych warunkach. „Nie mamy prawa wprowadzać sztucznego przedziału płciowego do spraw społecznych. Względna zdolność mężczyzn i kobiet do pewnego rodzaju pracy da się sprawdzić na drodze doświadczenia, a że warunki doświadczenia ciągle się zmieniają, nie można twierdzić, że doświadczenia dokonano raz na zawsze. Jeżeli doświadczenie się uda, tem lepiej dla rasy; gdy się nie uda, ucierpi na tem tylko mniejszość, która złamała prawo natury. Nie przystoi obawa przesadna o nadwerężenie tego prawa. Możemy zachować zupełny spokój wobec reform społecznych. Reformy te albo wyjdą ze zdrowego instynktu przyrodzonego, a wtedy budowa społeczna wzmocni się i rozszerzy; albo nie, a wtedy nie zostaną wcielone w organizm gatunku." A zatem zupełnej swobody zarobków i zajęć dla kobiety, bo nie fakty

*) Havelock Ellis: „Mężczyzna i kobieta, badania nad drugorzędnemi cechami płciowemi człowieka," przekład F. Wermińskiego. Warszawa.

przeszłości i nie znamiona fizyczne i duchowe teraźniejszości mogą rozstrzygać o tem, do czego jest ona zdolna, tylko doświadczenie, którego jeszcze nie znamy!

W pracy badacza angielskiego znajduje się pewien punkt, na który chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelnika.

Zaznacza on, że kobieta przedstawia w swojej organizacyi fizycznej poniekąd charakter dziecka. Ażeby zaś ocenić doniosłość tego faktu, uważa za stosowne wytworzyć sobie jasne pojęcie o tem, czem jest dziecko u człowieka. Ma ono w formie wygórowanej główne znamiona, odróżniające ród ludzki: dużą głowę i mózg, małą twarz, brak włosów, delikatny system kości. Zwykle przyjmujemy, że postać dorosła jest wyżej rozwinięta, niż dziecka. Według Havelock Ellisa jest to błąd: u człowieka, od trzeciego roku życia, dalszy wzrost, acz konieczny dla przystosowania się do otoczenia, jest w pewnej mierze tylko postępem ku zwyrodnieniu i starości, i wyższość pewnej rasy zależy od obfitości w niej dziecięcych typów uczucia i wrażliwości wśród osób starszego wieku. „Wy Grecy zawsze jesteście dziećmi," takie było pojęcie starożytnych, szczep zaś ten uważamy za typ najwyższy, do jakiego ludzkość doszła. Postęp naszej rasy był postępem w kierunku młodości. Jeżeli taki stosunek dziecka do ewolucyi przyjmiemy za udowodniony, wtedy kobieta posiadałaby oznaki specyalne rodu ludzkiego w wyższej mierze, niż mężczyzna. Przedstawia ona bardziej typ ludzki i cywilizacya powoli przeinacza i drugorzędne znamiona męzkie w tym samym kierunku. Mężczyzna cywilizacyi miejskiej stoi bliżej kobiety, niż dziki. W ciągu całego biegu uspołecznienia mężczyzna podąża za kobietą i bierze jej zatrudnienia, któremi zresztą zajmuje się z większą energią i dokładnością. Stany dzikości i barbarzyństwa były w wielkim stopniu stanami wojowniczymi, co znaczy męzkimi, tymczasem charakter cywilizacyi współczesnej stał się przemysłowym, tj. kobiecym, przemysł bowiem należał pierwotnie do kobiety i dzisiaj również dąży do zrównania mężczyzn z kobietami. Obie płcie w dziejach rodu ludzkiego występują obdarzone początkowo odmiennym charakterem. Mężczyzna odznacza się zawsze większą różnorodnością— fakt, który ma olbrzymie znaczenie. Całość cywilizacyi ludzkiej byłaby inną, gdyby podczas wczesnych okresów zoologicznych mężczyzna nie otrzymał uzdolnienia do większej zmienności. Natomiast kobiecie właściwą jest przedwczesność rozwoju i wypływająca stąd większa szybkość dojrzewania wraz z wcześniejszem zatrzymaniem się. Różnice pomiędzy płciami są niekiedy bardzo subtelne lub nieznaczne, niemniej istnieją i sięgają do najdrobniejszych szczegółów budowy. Rozwój cywilizacyi, polegający poniekąd na „feminizacyi" rodu ludzkiego, zwolna je znosi.

J. W.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA

Nowy dramat Sudermanna.

Nietylko książki, jak mawiali Rzymianie, mają swe *fata*, lecz i autorowie. „Pech" Sudermanna polega na tem, iż od początku swej karyery dramatopisarskiej chciał on służyć dwu bóstwom: sztuce i modzie. Dzięki „Honorowi" jednym susem wskoczył na szczyt sławy. Poklask zyskała mu przeważnie umiejętność ujęcia w formy artystyczne kwestyj starych a jednakże wiecznie nowych dla berlińskich „radców handlowych." Ogłoszono go za mistrza nad mistrzami, gdyż dowcipnie i misternie przedstawił w obrazach scenicznych zatarg ideowy pomiędzy bogatem mieszczaństwem a junkrami. Tak dalece zaskarbił on sobie serca „tout Berlina," iż do dziś podtrzymuje swą popularność kuponami, obcinanymi z zyskanego wówczas kapitału sławy. Były uczeń aptekarski a obecny posiadacz wspaniałej willi oraz pokaźnej fortuny, spoczywa spokojnie na wawrzynach, pomimo iż dotychczas nie udało mu się rozjaśnić swej gasnącej aureoli ani jednym nowym promykiem tryumfu. Z tego nie wypływa, aby późniejsze jego dzieła nie dorównywały pierwocinom. Przeciwnie, „Koniec Sodomy" można uważać za rzecz doskonałą, a nawet najlepszą z dorobku Sudermannowskiego (tak np. utrzymuje Brandes). Zawinił atoli tem, że nie potrafił się dostroić do wymagań i poglądów gminy, która go obrała za swego literackiego pasterza. Jego sztuki miały coraz mniej powodzenia. Podczas gdy „Gniazdo rodzinne" chwalono półgębkiem, „Walkę motyli" powitano z pogardliwym uśmiechem, a „Szczęście w zakątku" przeszło zupełnie bez wrażenia. Już w roku przeszłym Sudermann spróbował nastroić lutnię swą na bardziej modny ton. Odgrzawszy we „Frydziu" lejtnanta i pojedynek, wkroczył w dwu pozostałych jednoaktówkach na nowe tory: jedną rzecz skleił w stylu dramatu historycznego, drugą zaś pociągnął pokostem bajeczno-symbolicznym. Należy pamiętać, iż ten sam „rodzaj" wprowadził na scenę z powodzeniem Fulda, wierszokleta mniej niż mierny, zawdzięczający swój rozgłos szczęśliwemu wypadkowi. „Morituri" przyjęto dosyć gorąco, lecz bez entuzyazmu, jaki przysługuje autorowi, reprezentującemu za granicą czysto berliński dramat. Trzeba było poszukać nowego pomysłu. Temat się wkrótce znalazł: pierwotne chrześciaństwo. Przedmiot świadczy bezwarunkowo o pewnym sprycie Sudermanna. Przedewszystkiem bowiem pisma doniosły, iż Hauptmann przygotowywa dramat p. t. „Chrystus." Nadto półtora roku temu oratoryum Rubinsteina pod tym samym tytułem narobiło wrzawy. Nietzsche, najbardziej poczytny dziś w Niemczech dyletant filozoficzny, wbrew swemu „Antichristowi" i napaściom na chrześciaństwo, jest w gruncie rzeczy duszą religijną, o czem świadczą liczne ustępy „Zarathustry" *).

Jego kult „nadczłowieka" tchnie mistycyzmem religijnym. Można byłoby przytoczyć więcej dowodów tego, iż kwestya religijna nurtuje umysły w społeczeństwie niemieckiem. Niedawno np. E. Reicher, twórca naturalistycznej gry dramatycznej, urządził wieczór publiczny, na którym przy akompaniamencie organów recytowano ustępy z religijnych pomników rozmaitych ludów, z podkreśleniem wspólnego im pierwiastku panteistycznego. Słowem, utwór Sudermannowski jest poniekąd na czasie i może autorowi udałoby się narzucić bankierom i mecenasom berlińskim upodobanie do dramatu religijnego, gdyby nie to, że miał nieszczęście porwać się z motyką swego talentu na słońce wzniosłych zagadnień. Cóż bowiem pieśniarz flirtu salonowego w Berlinie W., badacz stosunku między światem a półświatkiem lub w najlepszym razie obrońca ideału „wolnomyślnego" w najpłytszem jego znaczeniu, ma wspólnego z wielkiemi zagadkami, które świat usiłował rozwiązać w konwulsyach? Mieliśmy w poprzednich utworach sposobność poznać filozofię Sudermanna. Jako dowcipny gawędziarz sypie z rękawa frazesami w rodzaju „obowiązek," „honor," „prawa naszego *ja*" i tym podobnymi ogólnikami, którymi zbywa wszelkie łamigłówki filozoficzne za pośrednictwem swych rezonerów. Nie raziło to bynajmniej w innych utworach i prawdopodobnie wydało się szczytem mądrości tym panom, co przybywają na premierę, aby użyć jej jako papryki w celu zaostrzenia apetytu na kolacyę u Dressla. Wszak dla tych indywiduów wszelkie kwestye są Hekubą lub sportem. Co jednak uszło w dramacie obyczajowym, nie może pasować do zagadnień ewangeliczno - religijnych. Jakkolwiek więc Sudermann zapewnia, że jego nowy dramat, „Jan Chrzciciel," jest „Faustem," gdyż już przed dwudziestu laty naszkicował myśl zakochania się Salomei, córki Herodyady, w św. Janie, to sztuka, sama przez się niezła, nie wytrzymuje krytyki ze względu na podjęte zadanie.

Rzymianie narzucili jarzmo swej władzy społeczeństwu żydowskiemu. Naród buntuje się przeciwko bezprawiu. Ze społeczeństwem łączą się faryzeusze, którzy powołując się na prawo, wyzyskują je dla swych własnych celów. Warstwy ludowe nie widzą wyjścia dla siebie. Walcząc przeciwko intruzowi i zabójcy, muszą poddać się uciskowi dogmatu i zakrzepłej tradycyi. Zrozpaczony naród wpada w mistycyzm i czeka zbawienia od cudotwórców i proroków. Jeden z tych ostatnich, św. Jan, chrzci ludzi, głosząc konieczność postu i ascetyzmu. Sam żywi się szarańczą i miodem, a ubiera się w skórę wielbłądzią. Zetknąwszy się z faryzeuszami, pojmuje, iż prawo i dogmat powagi nie zdadzą się na nic dla ludu, gwałtowi należy przeciwstawić gwałt. Lecz sam on nie czuje w sobie siły dostatecznej, aby stanąć na czele mas. Głosi przeto, iż inny godniejszy od niego weźmie świętą sprawę w swe ręce, wódz kroczący na czele licznych zastępów, groźny mściciel krzywdy biedaków. Stopniowo jednak przekonywa się o zwodniczości swej nadziei, gdyż sam naród nie życzy sobie ani króla, ani wodza. Kobieta z ludu skarży się przed nim, że królowie bratają się tylko z królami, maluczcy wyczekują Mesyasza, pana miłości i miłosierdzia. Słowa te wchodzą mu głęboko w serce i odtąd pierzcha jego spokój i równowaga. Dowiaduje się on wreszcie, iż młodzieniec z Nazaretu, którego spotkał niegdyś w puszczy, głosi nową ewangelię wszechmiłości i wszechbraterstwa, każe kochać tych samych wrogów, których Jan chciałby zgładzić z oblicza ziemi. Nie radzi umartwiać ciała, wodę zamienia w wino i raduje się wtedy, gdy inni się weselą. Na razie Jan nie jest w stanie pojąć filozofii, która stare zasady wynicowała. Zaczyna jednak zastanawiać się nad pojęciem miłości i przekonywa się, iż nie ma wyobrażenia o jej istocie. Gdy zawitawszy do Jerozolimy, publicznie piętnuje Herodyadę za jej bezeceństwa i cudzołóztwo, wiarołomna żona Heroda rozbraja go pytaniem: azaliż wie, co to jest miłość? Nieświadomie jednak dogmat Chrystusa przenika do głębi jego serca i ogarnia je do tego stopnia, iż w chwili krytycznej, kiedy ma dać znak do powstania i zabić Heroda, zamierzającego sprofanować świątynię, jego dotychczasowa pogoda ducha odmawia mu zupełnie posłuszeństwa; kamień, którym uzbroił się, wypada mu z rąk, a skierowane na Heroda przekleństwo, które rozpoczął od słów: „W imieniu tego, co..." kończy: „co każe mi ciebie kochać." Jan, jak widzimy, przeistoczył się; ponieważ wszyscy go opuszczają, a jego ostatni uczeń udaje się do proroka z Nazaretu, nie pozostaje mu nic innego, jak wyrwać z duszy swej resztki fanatyzmu i przyłączyć się do Chrystusa. „Tragedia e finita" — zawoła czytelnik, o ile może być wogóle mowa o tragi-

*) Ist est nich deine Frömmigkeit selber, die dich nich mehr an einen Gott glauben lasst.

zmie bohatera, którego przeznaczeniem jest być heroldem dla innej osobistości, godniejszej od niego. Wszak walki św. Jana nie przejmują nas współczuciem, nie wstrząsają nami, gdyż od samego początku stoimy po stronie tego, przeciwko któremu on występuje; gdy przytem rzuca oręż i wyrzeka się własnej niesłusznej może etyki, w gruncie rzeczy odradza się. Autor ze spokojnem sumieniem mógłby rzucić zasłonę na dalszy los bohatera. Lecz na nieszczęście Sudermannowi zachciało się jeszcze upiększenia miłosnego z domieszką modernizmu. Zapładnia więc serce Salomei, córki Heroda, miłością dla interesującego apostoła w wielbłądziej skórze. Gdy Herod kazał śmiałka uwięzić, odwiedza go młoda kokietka i ofiaruje mu swą miłość. Ascota odpiera pokusy dziewoi, a podrażniona w swem samolubstwie samica żąda głowy Jana jako zapłaty za taniec, który ma wykonać w obecności Heroda i jego gości. W chwili kiedy tygrysica puszcza się w tany z głową świętego na talerzu, dolatują z ulicy okrzyki: „Hosanna!“, towarzyszące wstąpieniu Chrystusa do Jerozolimy.

Od dramatu historycznego można byłoby wymagać, aby na tle ducha czasu autor wytłumaczył nam, dlaczego ówcześni ludzie w pojęciu miłości zawarli wszystkie swe pragnienia i ideały; dalej, w jaki sposób sama sytuacya wyłoniła tego rodzaju formułę i nadała jej urok; trzeba było pokazać, jak bieg wypadków przekonywa Jana, jak wszystkie zagadnienia, trapiące ludzi tego okresu, dają się rozwiązać, usunąć lub złagodzić za pomocą nowej wiary. U Sudermanna nie znajdujemy ani śladu tego wszystkiego, bo kazania i rozmowy, pełne frazesów, nie mogą nam zastąpić tła i akcyi.

O ile szwankuje treść, o tyle bije w oczy udatność charakterystyki niektórych osób. Herod i Salomea np. są prawdziwemi perłami literackiemi.

H. F.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

BIBLIOTEKA dzieł wyborowych: tom 18: „Poematy“ J. Słowackiego; tom 19: „Szkoły historyczne w Polsce,“ studyum W. Smoleńskiego.

HISTORYA LITERATURY. B. N. Kąsinowski: „Beitrage zu einem Studium des Lustspieldichters Fr. Zabłocki,“ I Theil (48 str.). Brody. Dlaczego po niemiecku?

PORTRET A. Mickiewicza (według obrazu S. Heymana w litografii wydała drukarnia „Liberty“).

POEZYE

MŁODZI.

Idziemy zwolna życia ujściem stromem,
Idziemy drwiący, cisi, obojętni.
Burza w nas huczy zwątpienia ogromem
I morze pragnień konających tętni.
Za nami krzyczą widma dawnej chwili:
Gdzież wasza młodość? coście z nią zrobili?

Jak przez mgłę widzim te dawne porywy,
Kiedy się miało ziemię wzruszać z posad
I chciało walczyć za cześć myśli żywej.
Dziś stoim drwiący. Falą mętny osad
Sfermentowanych wierzeń do nas idzie
W wstrętnej nicości i nagiej ohydzie.

A z nami idzie nasza krew zatruta
I myśl strawiona niepomierną pracą,
I nasza młoda, przedwczesna pokuta —
Kaźń nie wiadomo za kogo i za co!
A tu nam krzyczą strażnicy na baszcie:
Hej młodzi! młodość swoją nam pokażcie!

Młodość! Kraczecie nam—młodość! a gdzież ta
Młodość, wy wielkich czynów spadkobierce?
Czy ta spleśniała mdłych dociekań reszta?
Czy to przerosłe mózgiem nasze serce?
Czy ten do życia wstręt, który się lęgnie
W każdej krwi kropli, w każdem mięsa ścięgnie.

Młodość pokażcie nam! Jeżeli kiedy
Jaki przemądry sędzia z duszą czerstwą,
Ważąc dobytek półwiekowej schedy,
Zapragnie rzucić nam w oczy szyderstwo,
To nam nie powie ni lepiej, ni prościej,
Niźli te słowa: wieku bez młodości!

Zaprawdę, jeśli potrzebna jest kara,
Która sny ziści i spokój odkupi,
Jeśli go może odkupić ofiara,
To chyba dosyć tej młodości trupiej!
Więc niesiem światu nasz wiek młody w dani
My zgrzytający i poszkodowani.

Lecz wiedzcie, że w nas drga okropna smętność,
Co, jak ptak, skrzydeł krew po ziemi wlecze,
I taka wielka, wielka obojętność
Na prawa własne, na prawa człowiecze!..
Bo my, jak widma, stoim na wyłomie
Całkiem uczciwie i całkiem świadomie.

Ani my słowem orężni prorocy,
Ani my niesiem pokoleń busolę,
Lecz jest w nas śpiąca energia niemocy,
Która, jak stygmat, płonie nam na czole,
Co trąci wszystkiem, ale nie mogiłą.
Tak zawsze będzie — i tak zawsze było.

My nie tworzymy nic, ale wam wara
W skostniałe palce brać naszego ducha!
Bo aż się wzdrygnie wasza ręka stara
Od tego ognia, który z nas wybucha!
Bo z nas nie wszystko jednak pójdzie w trumnę...
My mamy czoła dumne, bardzo dumne.

Władysław Sterling.

O PRAWDĘ.

Życie studenckie i ideały.

II.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn takiego zastoju umysłowego jest — brak czasu. Członek korporacyi, a szczególniej „barwiarz,“ jest tak zajęty, że wprost nie może znaleźć chwili na przeczytanie czegoś poważniejszego. Dlaczego?

Najwyższą instytucyą jest „Koło.“ Prócz niego działają jeszcze: komisya naukowa, kochenna; wydziały: sądowy, finansowy, wewnętrzny, zewnętrzny. Instytucye te obdarzone są pewną samodzielnością, podlegają zaś bezwarunkowo władzy Koła, które musi wiele czasu poświęcać, aby podołać nawałowi zajęć. Pomijając ich działalność (zabierają one przeciętnie od 15—25 godzin na miesiąc), dostatecznym będzie wykaz czasu, poświęcanego na główne posiedzenia.

Koła dzielą się na: zwyczajne i nadzwyczajne. Pierwsze odbywają się raz na miesiąc i trwają od 8 wieczorem do 3, często do 6 rano lub jeszcze później. Jest ich 9 w roku akademickim. Drugie odbywają się co tydzień i trwają od 8 w. do 2 r., często do 4. Cały bilans czasu przedstawić można w następującym szemacie:

Posiedzeń Kół zwyczajnych	od 8 w. do 3 r.	9
„ „ nadzwyczajnych	„ 8 w. „ 1 r.	36
„ poobiednich . .	„ 1 pp. „ 2 pp.	16
Zebrań ogólnych	„ 8 w. „ 10 w.	2
„ naukowych	„ 8 w. „ 11 w.	9
Komersów	„ 8 w. „ 6 r.	3
Knajpa kandydacka . . .	„ 8 w. „ 6 r.	1
Zebrań towarzyskich . . .	„ 8 w. „ 1 r.	8
Obowiązk. sobotnich zebrań	„ 8 w. „ 12 w.	8
	Razem zebrań	92

Obliczając na dnie (dzień 12 godzin) — 33,2 dni. Należy wziąć pod uwagę, że po każdem posiedzeniu, które się ciągnie długo w nocy, następny dzień należy uważać za stracony, gdyż nieliczne wyjątki zdolne są od rana być na wykładach i z nich korzystać. Zmęczenie zwiększa się przez to, że rozprawy w Kołach bywają zwykle bardzo denerwujące. Obliczając bardzo skromnie takie dnie stracone, otrzymamy liczbę 24, która wraz ze wszystkiemi niedzielami, galówkami, świętami Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy dorówna 87 dniom. Zważywszy, że rok akademicki ma tylko 270 dni (9 miesięcy), przekonamy się łatwo, że na naukę pozostaje najwyżej 150 dni, tj. 5 miesięcy! Lecz jeszcze nie koniec. Większość członków Koła spełnia różne urzędy (np. kasyerstwo, biblioteka, fechtunek wszystkie wydziały itp.), które wymagają poświęcenia im bardzo znacznej części swego czasu, jeżeli mają być należycie wypełniane. Urzędnik (członek Koła), nie chcąc być wyrzuconym z politechniki, nie jest w stanie spełniać swego urzędu dobrze. I znów spotykamy się z brakiem obowiązkowości względem stowarzyszenia. O tem, że każdy musi utrzymywać jakieś stosunki z ludźmi, że bywa, że do niego koledzy przychodzą, że zabawi się, nie wspominamy.

Zgodnie z ustawą ogólną. korporacye składają się z „koła,“ czyli zgromadzenia „barwiarzy,“ do którego drogą głosowania dostają się młodzi studenci, czyli „kandydaci.“ Koło posiada moc prawodawczą i sądową. Osłonięte jest powagą tajemnicy swych obrad, której dotrzymanie nowozaciężni barwiarze muszą uroczyście zaprzysięgać. Owa tajemnica jest przegrodą między „kandydatami“ (grupą ludzi mało znanych) a „barwiarzami“ (ściślejszym związkiem), progiem, na którym rozstrzyga się korporacyjna karyera „kandydata,“ wypływają nieomylne wyroki i postanowienia, dotyczące zarówno jednostek, jak i ogółu. Tym sposobem unika się rozdrażnienia stosunków wewnętrznych i nie obniża przed kandydatem osobistej wartości barwiarzów.

Ze spraw, jakie bywają poruszane w Kołach, najwięcej czasu zajmują sądowe, niepodlegające kompetencyi Wydziału Sądowego. Niejeden sędzia, przyszedłszy na takie posiedzenie, byłby niepomiernie zdumiony, a zarazem przestraszony konkurencyą, jaką mogliby mu robić ci ludzie, gdyby zaczęli pracować na terenie prawnym. Sala zmienia się na jakiś trybunał. Trzeba wówczas słyszeć i podziwiać, jak zręcznie a bezlitośnie prowadzone jest badanie oskarżonego, z jaką przebiegłością stawiane są pytania, jak każdy chciałby wedrzeć się w głąb duszy cudzej, jak nikt nie szanuje życia osobistego, jak spowiadać się trzeba ze wszystkiego i jak potem błysk niezupełnie koleżeńskiego tryumfu lśni w oczach, gdy zmęczony parogodzinnem badaniem lub słaby w dyalektyce nie potrafi swej sprawy należycie przedstawić, lub gdy po koncertowo prowadzonem wyjaśnianiu i oświetlaniu sobie z różnych stron danego przestępstwa uda się wreszcie znaleźć jakąś niedokładność w zeznaniach. Zapada wreszcie wyrok więcej lub mniej pomyślny, stosownie do ilości przyjaciół oskarżonego. Gdy on ma ich niewielu, wówczas wyrok bywa bardzo surowy, niekoleżeński, a co ważniejsza, niezgodny z celem stowarzyszenia— *wpływem moralnym.* Bo jak tłomaczyć wydalanie ze stowarzyszenia na czas ograniczony (np. 1 rok) lub usuwanie na zawsze takich np. kandydatów, nad którymi Koło winno czuwać? Czy należy wyrzucać ze swego grona zupełnie jednostkę wtedy, gdy najbardziej potrzebuje opieki? Gdzież ta opieka nad marnotrawnymi i próżniakami? Któż nie traci tu pieniędzy, czasu i życia, któż nie próżnuje? Zabrakłoby jednostek, gdyby chciano wziąć pod kuratelę samych tylko marnotrawców.

Zaledwie po czterech miesiącach pobytu w korporacyi kandydat ma prawo być głosowanym. Przypatrzmy się, na jakich danych opiera się to przyjmowanie kandydatów do Koła, przyprawiające tak wielu o tajemne drżenia serca, błogą nadzieję otrzymania kolorowej czapeczki i sprawienia sobie takiej malutkiej, jakiej nikt dotąd nie miał. Na absolutnej nieznajomości istoty człowieka, na powierzchownem rozpatrzeniu jego wad i zalet, na wrażeniu, jakie on sprawia, a nieraz na wzajemnym kompromisie lub „uzusach“ (zwyczajach). Kompromisy te wymagają kilku słów wyjaśnienia. Niepodobna żądać, aby w tak dużem gronie, jakie tworzy korporacya, wszyscy jej członkowie byli z równą serdecznością względem siebie usposobieni. Stąd wynika, że przy okazywaniu dowodu zaufania swemu młodszemu koledze powstaje ukryta walka róż-

nych stronnictw. Uwydatnia się to szczególnie wtedy, gdy podczas rozpraw, poprzedzających balotowanie, niema ani jednego zdania przeciw danej jednostce, po balotowaniu zaś okazuje się białych gałek zaledwie kilka lub kilkanaście! Tłomaczy się zwykle wtedy, że choć wyraźnych zarzutów nie było, ale skutkiem tego, że kandydat jest „za mało ogółowi znany," że „nie stara się zbliżać z kolegami," że, słowem, „nietowarzyski." Na cóż więc ten termin najmniej czteromiesięcznej kandydatury? Jak mało uwagi zwraca się na rzeczywistą wartość młodego kolegi, świadczą różne a nieraz bardzo dziwne opinie. Wówczas, gdy jeden jest „ograniczony," „brzydko" (bo biednie) się ubiera, „nieładnie wychowany," „za mało żyje z kolegami" (bo się uczy, nie ma pieniędzy lub zdrowia na wspólne zabawy), „zbyt nabożny" lub za wielki „społecznik" (tj. którego więcej interesują kwestye poważniejsze, niż np. knajpa) — nie posiada żadnych szans prędkiego otrzymania barw; inny z powodu „ładnej prezencyi," „dobrego wychowania lub „nazwiska," zdatny do „bywania w towarzystwach," tj. do podtrzymywania blasku korporacyi, a przytem zamożny (tj. nieoceniony towarzysz zabaw) szybko dostanie się do Koła. Rzeczywiście odzywają się zdania, zarzucające zbytnie knajpowanie, ale to, niestety, stosuje się zazwyczaj już do zdeklarowanych pijaków.

(D. n.).

W DALI.

Lublin. Pomimo zapowiedzi, jeszcze nie otwarto ruchu tymczasowego na kolei Łukowsko-Lubelskiej, skutkiem powodzi. — Rząd gubernialny lubelski rozpatruje sprawę otwarcia szkół miejskich, stosownie do ustawy z r. 1872. Szkoły takiej w gub. Lubelskiej niema ani jednej, a w całem Królestwie Polskiem jest ich bardzo mało. W sprawie tej piszą *Lub. Gub. Wied.*: Na mocy rozporządzenia ministeryum oświaty, poprzedni kurator okręgu naukowego, rz. r. t. Apuchtin, porozumiewał się z niektórymi gubernatorami w sprawie otwarcia szkół miejskich (ustawa z r. 1872, obecnie z r. 1887), w których mogłyby otrzymywać zupełne wykształcenie dzieci niższych warstw ludności miejskiej. Dzieci te, z braku szkół miejskich, wstępują do gimnazyów, a nie mając funduszów, opuszczają je przed ukończeniem, nie zdobywszy odpowiedniego wykształcenia i w ten sposób powiększają proletaryat. Rezultatem wspomnianych rokowań było otwarcie zaledwie kilku szkół miejskich, co stosunków wcale nie poprawiło. Pragnąc podnieść stopień oświaty z jednej strony, z drugiej zaś uwolnić gimnazya od uczniów ubogich, a natomiast dać im możność uczęszczania do szkół miejskich, kurator okręgu naukowego zwrócił się obecnie do gubernatora lubelskiego z prośbą o współdziałanie, celem zachęcenia do zakładania szkół miejskich i do zapewnienia funduszów na lokal tudzież na koszty założenia i utrzymania szkół. Naczelnik dyrekcyi naukowej chełmskiej prosi o odpowiedź: 1) w których miastach i osadach gubernii potrzebne są trzy i czteroklasowe szkoły miejskie; 2) czy miasta owe i osady gotowe są pokrywać koszty wynajmu lokalu i utrzymania szkoły.

Tomaszów Rawski. Korespondent *Kuryera Warsz.* pisze, iż poczynione przed dwoma laty starania mieszkańców Tomaszowa o założenie kasy pożyczkowej przemysłowców miejscowych nie odniosły skutku. Ministeryum odmówiło zatwierdzenia projektu ustawy, a natomiast zaleciło typ kas pożyczkowo-wkładowych, lub Towarzystwa wzajemnego kredytu, przyczem wskazało, jako wzór, Towarzystwo płockie. Wybrano więc komitet, złożony z pp.: Piescha, Mendelsburga, Hoppenstanda i Landaua, który, zaprosiwszy do pomocy adw. przys. Morszynkiewicza, opracował ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu i przedstawił ją władzom do zatwierdzenia. Tym razem nie czekano długo. W niespełna dwa miesiące po przedstawieniu projektu, w d. 3 b. m. nadesłano do magistratu wiadomość, że ustawę zatwierdzono. Wkrótce tedy interesowani przystąpią do organizacyi Towarzystwa.

Wilno. W artykule p. t.: „Dobrowolna germanizacya nazw miejscowości" *Petersb. Wied.* porusza sprawę nomenklatur w gub. Kowieńskiej i Kurlandzkiej: „W guberniach rzeczonych mamy miasta i miasteczka, których nazwy w języku litewskim brzmią np. Palanga, Kretinga, Taurage, Kuldiga itd., w polskim: Połąga, Kretynga, Taurogi i Goldynga, podczas gdy w nomenklaturze urzędowej w języku rosyjskim występują one jako Polangen, Kretingen, Taurogen, Goldingen." Autor artykułu zaleca formę polską. „Należy zwrócić uwagę, iż rozmaite nazwy zachodnio - słowiańskie miejscowości, gór, rzek, nie mówiąc już o nazwach prusko-litewskich, używane są w języku rosyjskim nie w formie słowiańskiej lub litewskiej, lecz w niemieckiej. Ongi dawało się to usprawiedliwiać aktami dyplomatycznymi, dla których forma niemiecka była bardziej dostępna, dziś atoli należałoby przywrócić nomenklaturę słowiańską przynajmniej w dziennikarstwie, słownikach, encyklopedyach itd." Dotąd np. i w prasie, i w encyklopedyach, i na mapach rosyjskich figurują nie Gdańsk, Toruń, Lwów itp., lecz Danzig, Torn, Lemberg. Publicystyka rosyjska germanizacyę nazw słowiańskich dobrowolnie uświęca.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Wyjaśniono, iż wszystkie miejsca przy monopolu wódczanym w Królestwie Polskiem są zajęte. Na przyszłość zaś będą przyjmowani tylko tacy kandydaci, którzy złożą kaucyę odpowiednią.

— Przy stowarzyszeniu spożywczem pracowników kolei Wiedeńskiej powstaje czytelnia kolejowa.

— W r. b. otrzymają zapomogi skarbowe między innemi następujące instytucye: Muzeum starożytności w Wilnie, komisya archeologiczna i biblioteka publiczna w Wilnie, Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Warszawie, towarzystwa przyrodnicze w uniwersytetach warszawskim, kijowskim i in., Towarzystwo historyczne im. Nestora w Kijowie; nadto kredyt przyznany będzie komisyom na wydawnictwo dawnych akt w Kijowie, Wilnie i Witebsku.

Szkoły. Dzienniki petersburskie donoszą, iż kursy popularne, czyli t. zw. uniwersytety ludowe, powstają w Charkowie, Woroneżu, Rostowie, Niższym Nowogrodzie i Saratowie.

— Zatwierdzono instytut politechniczny w Warszawie.

— Uchylono podatek pogłówny, pobierany od włościan dawniej rządowych na szkoły wiejskie w guberniach nieziemskich, mianowicie: Archangielskiej, Astrachańskiej, Orenburskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Wileńskiej, Mohylewskiej, Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej. Szkoły te utrzymywać będzie skarb państwa, który w tym celu czerpać ma zapomogi z funduszów ziemskich miejscowych.

— *Muzeum* (we Lwowie), organ nauczycieli szkół wyższych, wykazuje, że z końcem zeszłego roku szkolnego w gimnazyach galicyjskich było rzeczywistych nauczycieli i profesorów 400, tj. 66%, a zastępców 34%, czyli trzecia część. Stosunek ten jest bardzo niepomyślny, gdyż ciągle jeszcze trzecia część nauczycieli gimnazyalnych w Galicyi nie ma urzędowego charakteru funkcyonaryuszów, ciągle jeszcze figurują w niektórych gimnazyach szeregi suplentów, przewyższające czasami liczbę stałych nauczycieli. Najwięcej suplentów posiadały gimnazya we Lwowie, Krakowie, Tarnowie, Tarnopolu i Brodach.

Sądy. Wydział II karny sądu okręgowego warszawskiego rozstrzygnął sprawę adwokata przys. p. Stanisława Kijeńskiego, o obrazę słowną sekretarza izby sądowej. Obraza była tego rodzaju, że gdy sekretarz nie chciał przyjąć gotówki zamiast marek i gdy nie pomogły przekonywania, że odmowa jest nieprawną, p. K. powiedział do sekretarza Sobieszewskiego: „A zatem to nie dla pana Monarcha prawa wydaje?" Temi słowami p. Sobieszewskij uczuł się obrażonym, jako urzęd nik na służbie i wytoczył proces. P. Kijeńskiego uniewinniono.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zabronić sprzedaży numerów pojedynczych gazety *Głasnost'*.

Dobroczynność. Zmarła Julia Makowska poczyniła następujące zapisy w Lublinie: 1,000 rs. dla Towarzystwa dobroczynności, 2,000 na salę sierot, 500 na ochronę.

Wystawy i zjazdy. Od 1 czerwca do 30 października otwarta będzie w Dijon (Francya) wystawa powszechna międzynarodowa.

— W Petersburgu na wrzesień zapowiedziano zjazd ogrodników.

— W Salonie artystycznym przy Nowym Świecie otwarto wystawę obrazów Tytusa Maleszewskiego (184 olejnych, pasteli i rysunków). Dochód przeznaczono na korzyść wdowy po artyście.

— Z powodu przypadającej w r. b. 50-ej rocznicy wstąpienia na tron cesarza austryackiego, Franciszka Józefa, stowarzyszenie artystów wiedeńskich urządza w Wiedniu wystawę sztuk pięknych w połowie kwietnia.

Konkurs. Zbliża się termin nadsyłania prac na konkurs im. Józefa Kuryerowa, z nagrodą pieniężną 360 rs. Stosownie do woli zapisodawcy, mają wziąć udział tylko artyści malarze i rzeźbiarze Polacy, za dzieła osnute na temacie polskim i wybitnie odznaczające się pod względem artystycznym. Nadsyłać prace można do 15 marca. Konkurs rozstrzygnięty będzie 19 tegoż miesiąca.

Koleje i komunikacye. W czasie rozkładu letniego będą wprowadzone cztery pociągi specyalne t. zw. *express* między Łodzią a Warszawą. Wychodzić one mają rano i wieczorem z Łodzi i Warszawy, zatrzymywać się będą tylko w Koluszkach i Skierniewicach. Czas trwania całej podróży — trzy godziny. Jednocześnie poruszono sprawę zaprowadzenia biletów powrotnych między Łodzią a Warszawą.

— Wybudowana czterdziestowiorstowa odnoga kolei od stacyi Osipowicze kolei Libawsko-Romeńskiej (w gub. Mińskiej) do Starych Dróg, po roku istnienia pokryła już koszty budowy i przeszła na własność rządu.

— Z wiosną powstanie nowe przedsiębiorstwo żeglugi parowej na Wiśle.

Przemysł i handel. Znaczna ilość akcyj sosnowickiego Towarzystwa kopalni węgla przeszła na własność grupy kapitalistów belgijskich i francuskich, których przedstawiciele weszli do rady Towarzystwa na miejsce pp. Edwarda Herbsta i Karola Scheiblera. (*Gaz. Łod.*).

— W ciągu pierwszych dwu tygodni handlu monopolowego w 73 sklepach skarbowych w Warszawie sprzedano wódki za 132,000 rs.

Wynalazki. W Saratowie p. Ludwik Piotrowski, warszawianin, kończy pracę nad konstrukcyą młyna ruchomego. Ma on mleć 1,200 pudów żyta na dobę i posiadać motor elektryczny. *Sarat. Wiest.* pisze z tego powodu: „Taki młyn ruchomy i piekarnia mogą oddać wielkie usługi ludności syberyjskiej, oraz wojsku, zwłaszcza w czasie szybkiego przewozu żołnierzy. (*Kur. Warsz.*).

Zmarli. Antoni Kurzawa, w Krakowie; utalentowany rzeźbiarz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Leo. Wiersze w treści mdłe.

W. H. Bardzo dobre są słowniki: Janusza, oraz świeżo wydany przez Gebethnera i Wolffa, tak zwany emigracyjny.

P. Z. Taraszkiewicz w Elizawetgradzie. Żąda Pani od nas za wiele. My nie z każdym stajemy do walki. Pisma, o którem Pani wspomina, wcale nawet nie czytujemy i jest to dla nas zupełnie obojętnem, co ono sądzi o nas. Ogólnie więc tylko zapewnimy Panią, że redaktor *Prady* w mowie na jubileuszu Pługa nie odstąpił w najdrobniejszym ułamku od swoich zasad, że to wyraźnie zaznaczył, a tylko, pomimo właśnie różnicy przekonań, uczcił w jubilacie człowieka z niepokalanem sumieniem, z gorącem sercem i szczerym umysłem. Takich ludzi szanujemy zawsze, w cokolwiek oni wierzą i cokolwiek głoszą. Nie jesteśmy wyznawcami ani Sokratesa,

ani Hussa, ani Sawanaroli, ale to nam nie przeszkadza czcić w nich bohaterów. Pług nie stworzył nowej teoryi, nie wypił cykuty i nie spłonął na stosie, ale był człowiekiem wyjątkowo czystym i prawym. Zwyciężył sercem przeciwników, którzy niegdyś z nim walczyli, a dziś go wysoce poważają.

Stałemu prenumeratorowi. Nie mamy nic przeciwko sprostowaniu błędnej opinii naszego sprawozdawcy, ale niech Pan będzie łaskaw wyjaśnić nam myśl w szczegółach (nie w tytule) tego obrazu. Wyjaśnienie to zamieścimy.

SPROSTOWANIE. W nr. 6 *Prawdy*, w artykule p. t. „Malarstwo," str. 69, szp. 1, w. 45 od dołu, zamiast różowem, winno być „równem"; str. 69, szp. 2, w. 3 od dołu, zam. wagę, winno być. „wazę"; szp. 2, w. 27 od góry zam. Greusc — „Greuze."

— Komitet Zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra J. Mianowskiego, ma zaszczyt podać do wiadomości powszechnej, iż zmarły d. 9 Listopada 1891 r. Władysław Peplowski uczynił Kasę Pomocy spadkobierczynią swego majątku, od którego dochody przeznaczył na popieranie wydawnictwa broszur i podręczników naukowych, zawierających najlepsze i najnowsze wskazówki rozwoju rolnictwa, rzemiosł, rękodzieł w kraju naszym, wyłożone jasno, popularnie, poprawnym językiem polskim, przystępnie dla ogółu rolników, rzemieślników i rękodzielników, zastosowane do potrzeb miejscowych, na czasie; tudzież na pomoc dla autorów rzeczonych broszur lub podręczników i osób na tem polu pracujących. W wykonaniu zapisu tego, na którego przyjęcie Kasa pomocy właściwe zezwolenie Władzy rządowej uzyskała, Komitet zarządzający Kasą oświadcza gotowość wejścia w bliższy stosunek z pp. wydawcami lub autorami dzieł, odpowiadających wyżej wyłuszczonym określeniom i warunkom, celem zapewnienia dziełom tym lub wydawnictwom poparcia, jakieby się okazało potrzebnem i możliwem. Osoby, pragnące uzyskać dla swych dzieł czy nakładów pomoc pieniężną, proszone są o zgłaszanie się osobiste do biura Komitetu Kasy Pomocy w Warsawie, przy ulicy Niecałej Nr. 7 lub o nadsyłanie pod tymże adresem żądań, wyłuszczonym na piśmie.

Prezes Komitetu: *H. Struve.*
Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Февраля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.